Numer 29. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 17 Lipca 1927.

ROLA

KRAKÓW, ulica św. Tomasza 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Pomiędzy emigrantami we Francji.

— Podobno w sprawie karty identyczności wzywano cię do prefektury.

— Owszem, byłem w prefekturze. Bardzo grzeczni ludzie. Nawet prosili mnie siedzieć.

— I siedziałeś?

— Dziękuję... pół roku!



Mądry tatuś.

Mały Saluś dostał od ojca szablę i kaszkiet żołnierski. Całemi dniami bawi się w wojnę. Rodzice przyglądają się z zachwytem.

— Wiesz co, Leon, odzywa się mama do taty, mam wrażenie, że nasz Saluś będzie w przyszłości oficerem.

— Jak chce, niech będzie. Napoleon też zostawił dobre pieniądze.



Humor wojskowy.

Oficer: — Kim trzeba być, aby mieć pogrzeb z kompanją honorową i salwą?...

Jeden z żołnierzy: — Nieboszczykiem, panie poruczniku!

Nad Wisłą.

Ktoś tonie i krzyczy:

— Pomocy! Tonę!

Nad brzegiem stoi jakiś jegomość i przygląda się tonącemu:

— Czemu się pan tak drze?

— Duszę się! Tonę! Ratunku!

— Nie rozumiem. Krzyczy pan, jakby się paliło...!

— Ja nie umiem pływać.

— Ja też nie umiem pływać, a jednak nie robię awantury w biały dzień.



Nie to tylko tamto!...

Amerykanie twierdzą, że murzyni mają mocne łby. Na dowód przytaczają następującą historję:

Przed sędzią staje murzyn i oskarża białgo, że ten trzasnął go w głowę.

— Czem cię uderzył? — pyta sędzia.

— Żelazkiem do prasowania.

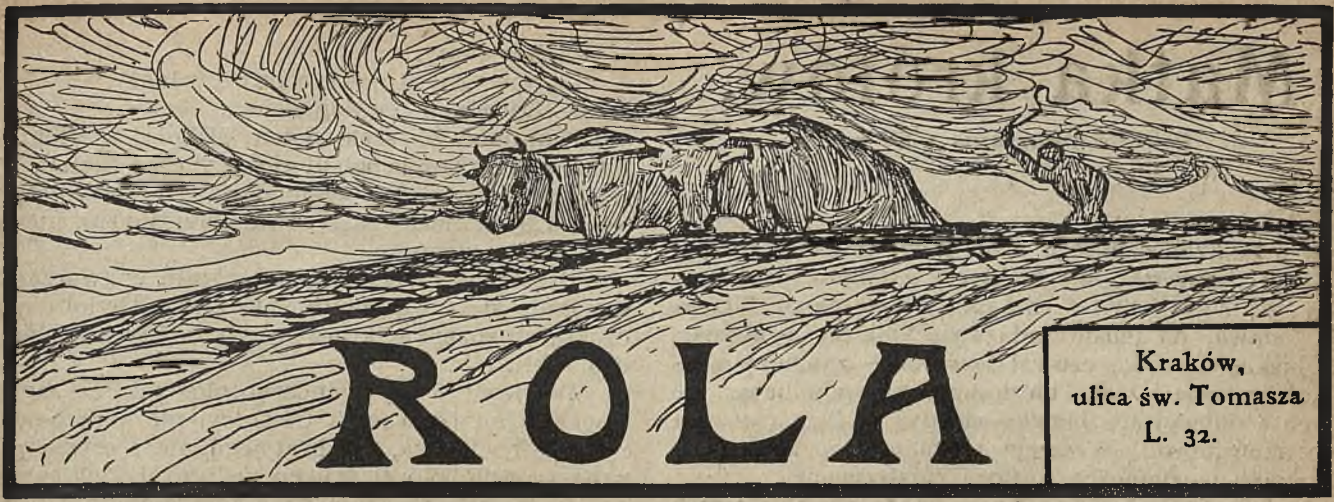
— Pokaż głowę.

Sędzia ogląda skrupłatnie czaszkę murzyna.

— Śladu niema! Głowa cała. Widocznie uderzył cię bardzo mocno.

— Ale! panie sędzio, — odpowiada murzyn. — Niech pan się żelazku przyjrzy, to pan zobaczy.

Numer 29. Rok X. Kraków, dnia 17 Lipca 1927.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

ŻNIWA.

Późną jesienią i wczesną wiosną wychodzi rolnik na szerokie łany pola, aby rozrzucić ziarno po ziemi i oczekiwać długie dni na zbiór należny mu za trud i prace. Nie dospał, nie dojadł, ale pruł czarną skibę ostrem żelazem, orał i siał, siał i bronował, a potem wzdychał tylko do Boga, aby Ten jego pracy błogosławił i nagrodził mu trud i znój, z jakim tę ziemię ukochaną uprawiał.

Przyszła zima długa i mroźna. Śnieg biały srebrnym welonem przykrył jego wysiłki na długie tygodnie. Rolnik czekał cierpliwie, wiedząc, że ziemia ta jego rodzona, odpocznie sobie, aby z wiosną ożyć, zadrżeć życiem i począć ziszczać jego nadzieje.

Jakoż nadeszła upragniona wiosna. Cała przyroda drgnęła, wszystko poczęło się prężyć i piąć ku górze. Zazieleniły się rozłogie łany, pokrywając się bujnem zbożem. Serce rolnika rosło i cieszyło się. Aliści dnia jednego na nieboskłonie ukazała się ciemna chmura. Jedna i druga błyskawica przeszyła powietrze, piorun spadł z beskresnych przestworzy na ziemię. Takby się zdawało! O nie na ziemię on spadł, ale wprost w serce biednego rolnika, który z trwogą spoglądał na błyskawice, który ze drżeniem oczekiwał, czy aby po grzmotach i piorunach nie przyjdzie grad, który w jednej chwili całe jego nadzieje w niwecz może obrócić.

Na szczęście obawy jego okazały się płonne. Wprawdzie w innych okolicach grad całe szeregi złocistych łanów położyły pokotem, ale jego pszeniczka i jego żyto ocalały. O jakże dziękował Stwórcy za łaskę niczem niezasłużoną!

Aż oto nadszedł czas. Ukryta w zbożu przepiórka odezwała się swoim dźwięcznym głosem: „Pójdźcie żąć! Pójdźcie żąć!“ Zadźwięczały sierpy, zaroiły się łany hożemi dziewuchami, ozwały się śmiechy i przyśpiewki. Pole ożyło, niosąc śmierć bujnym kłosom. Przed człowiekiem i przed jego potęgą uginały się pozłociste źdźbła, w pas się kłaniały i kładły się u stóp jego. A on je pieczołowitą ręką gromadzi, w snopy wiąże, ustawia w półkopki i znów śle modły do Stwórcy, aby dozwolił mu szczęśliwie zgromadzić wszystko w stodołach, by starczyło na całą zimę dla niego i jego rodziny.

Oto żniwa, prawdziwe żniwa, to nagroda dla siewcy polnego.

I takich siewców i takich żniwiarzy znamy wszyscy, i błogosławimy im, i cieszymy się z ich zbiorów. Ale są jeszcze siewcy inni, na których my patrzymy codziennie, ale najczęściej przechodzimy nad nimi do porządku dziennego. To są siewcy, którzy sieją na niwach dusz naszych. To są kapłani i nauczyciele, którzy w serca nasze rzucają ziarna cnoty, miłości Boga i Ojczyzny. I oni, jak ten rolnik, drżą o swe ziarna, czy aby w przyszłości plon obfity wydadzą. A my jakże się do nich odnosimy? Oto po największej części patrzymy na ich wysiłki obojętni a nawet niejednokrotnie przeszkadzamy ich pracy. A zdarza się nawet, że ich niepowodzeniem cieszymy się, niepomni, że jeżeli praca ich pójdzie na marne, to my sami największą szkodę z tego odniesiemy. Bo o ile rolnik, płużąc ziemię i rzucając w nią ziarno, w pierwszym rzędzie czyni to dlatego, aby sam dla siebie mieć w przyszłości zbiór obfity, a dopiero resztkami dzieli się z resztą społeczeństwa, to natomiast siewcy duchowi cały plon duchowy oddają społeczeństwu, nie pozostawiając nic dla siebie. Dlatego też obowiązkiem naszym jest pomagać im i wspierać ich pracę, bo tym sposobem dla samych przygotowujemy żniwa obfite.

Pomiędzy jednym a drugim siewem zachodzą jednak pewne różnice. Oto gdy siew pierwszy już po jednym roku wydaje należyte owoce, to na owoce siewu drugiego nieraz lata czekać potrzeba.

Matka królów.

Powieść historyczna z XV w.

VI.

Po pogrzebie starego króla nowe powstały w kraju zamieszki, bo niektórzy z panów i szlachty nie chcieli uznać za króla małoletniego Władysława, na Piastów Mazowieckich się oglądając. Ale biskup Zbyszko czuwał i wszystkie zamachy udaremnił powagą i wolą niezłomną, przypominając, że szlachta obiecywała Jagielle niegdyś w Brześciu syna jego ukoronować. Wreszcie postanowiono zebrać się na zamku i ostatecznie sprawę rozstrzygnąć.

Sala coraz się więcej napełniała i cichy szmer tylko w niej słychać było... Spozierano po sobie. Z lic widać było, że walka musiała zawrzeć gorąca....

Koronacja dnia tego zależała od godziny ukończenia głosowania i sporów... Przed południem arcybiskup musiał ze mszą wyjść. Zostawało więc zaledwie parę godzin na zwalczenie nieprzyjaciela.

Wszyscy urzędnicy koronni byli zawczasu na swych miejscach, gdy arcybiskup ukazał się w szatach swych uroczystych, a obok niego Zbigniew krakowski, Władysław, wrocławski nominat, Stanisław płocki i Jan chełmski, biskupi...

Zgromadzenie powitało ich powstaniem, w milczeniu zajęli miejsca...

Z twarzy smutnej i wylękłej Wojciecha niewiele było można wyczytać. Zbigniew szedł z głową podniesioną dumnie i choć prymasowi miejsca ustępował, nikt się omylić nie mógł, kto tu z nich w istocie większe miał znaczenie i siłę.

Oleśnicki, zająwszy miejsce, rzucił wejrzeniem śmiałem w stronę Spytka, zmierzył oczyma jego i tych, których prowadził, westchnął i odwrócił wzrok, jakby niewiele sobie ważył tych ludzi.

Arcybiskup oczu podnieść nie śmiał, pocichu rozmawiał z płockim biskupem, aby nie okazać wzruszenia, jakiego doznawał. Spojrzeć w tę stronę, gdzie się stojącego synowca spodziewał, nie śmiał.

Wtem drzwi ze tronem otwarły się, powstali wszyscy, weszła w żałobie, w długich zasłonach, z powagą i smutkiem, blada królowa. Chciała być mężną, ale się pod nią chwiały nogi. Obok niej szli dwaj synaczkowie... Za nią czterej książęta mazowieccy. Już to, że oni jej towarzyszyli miało znaczenie!...

Chwila milczenia nastąpiła.

Biskupi naradzali się między sobą...

Zagaił słabym głosem Wojciech gnieźnieński, wzywając senatorów do głosowania.

Zaledwie skończył mówić, powstała królowa i postąpiła naprzód kroków kilka... Cisza wielka panowała w sali...

Zaczęła mówić głosem tak cichym w początku, iż najbliżsi zaledwie usłyszeć ją mogli...

Prosiła wszystkich zgromadzonych, aby dotrzymując słowa danego nieboszczykowi królowi, jednego z synów jej na następcę po nim wybrali. Za dotrzymanie wszelkich zobowiązań i potwierdzenia przywilejów po dojściu do pełnoletności, ofiarowała porękę swoją i książąt mazowieckich...

W końcu tego przemówienia, które niełatwo jej przyszło, podniosła oczy ośmielona nieco, powiodła po zgromadzeniu i dwie łzy otrzeć musiała.

Głos jej przebrzmiał i nikt się nie odezwał rychło. Królowej nieprzyjaciele poczęli wołać.

— Nie damy sobie króla narzucić!

— Nie damy...

— Nowy zjazd powszechny zwołać!

— Koronacji nie dopuścim....

Napróżno Zbyszek, potem Mikołaj z Michałowa, Tarnowski i Koniecpolski głosy zbierać chcieli. Wrzawa wzrastała, a choć gromadka, co ją wywołała, niewielką była, liczbę zastępowała burzliwem, nieustannem występowaniem.

Bystre oko Oleśnickiego czytało w twarzach zachwianie się, zwątpienie. Nie można było dopuścić dłuższych rozpraw, które groziły onieśmieleniem bardzo wielu....

Wystąpił więc, podnosząc głos tak, że zagłuszył Spytka, Jan Głowacz z Oleśnicy, nie z tą powagą i majestatem słowa, jak brat jego, ale z czystą polską rubasznością, której skutku na umysły był pewnym.

— Wielka to cnota taka pieczołowitość o dobro powszechne, jaką okazują ci, co króla nie chcą, a żądają bezkrólewia! Znamy tych, co się o swoje przywileje boją, że im nie o swobody szlacheckie, ale o wszelaką idzie bezkarność. My też, starsi senatorowie, cośmy u boku króla nieboszczyka stali, dbamy o swobody nasze. Daliśmy dowody tego, broniąc ich nieraz, a karki nasze ważąc... Miałożby zdanie kilku niespokojnych ludzi przeważyć tam, gdzie najznaczniejsza część narodu jest zgodną?

Jan z Koniecpola, kanclerz, dodał za nim:

—Krzyczeć łacno, ale krzyk nie jest dowodem czego innego, tylko dobrego gardła... Zatem komu miło wołać, nikt nie broni, a my mimo to, co postanowione dokonamy.

Ale z przeciwnej strony huczeć zaczęto. Narada poważna przerodzić się groziła w namiętną wrzawę i walkę... Wstawali jedni, powstrzymując, drudzy domagając się milczenia. Nie pomogło nic.

Królowa, która siedziała na tronie blada, odprawiwszy dzieci, bo królewicza Władysława musiano ubierać do koronacji, z załamanemi rękami wyszła z sali.

Zbyszek biskup z zupełną pewnością siebie, nie tracąc cierpliwości, czekał chwili, aby się mógł odezwać. Nie przemógł jednak hałasu i krzyków, wstał podchodząc do senatorów, i Spytkowi z Tarnowa szepnął, aby oni marszałkowi zlecili przemówić raz ostatni do zgromadzonych stanowczo.

Godzina była spóźniona, czas upływał, gdyby spór się przeciągnął, koronację musianoby odłożyć, a naówczas za przyszłość odpowiadać nie mógł nikt.

Obdarzony głosem donośnym, Jan z Oleśnicy, podniósł rękę, głosu się dopraszając...

Uciszać się zaczęło, nie żeby ustąpili i przełamać się dali Spytek i Strasz, lecz, że ciekawi byli co miał marszałek ogłosić.

— Z polecenia panów senatorów królestwa tego — zawołał Głowacz — oznajmuję zgromadzonemu tu narodowi, że starszyzna korony tej i wszyscy prawi synowie kraju starszego królewicza Władysława, na stolicę królewską postanowili wynieść i koronować. Komu się ta uchwała nie podoba, niech wystąpi i stanie po lewej ręce, ci co są z nami po prawej staną. Okaże się jawnie, jaki jest lik tych, co chcą się powszechnemu sprzeciwić głosowi...

Ruszyło się wszystko, co żyło w sali, cisnąc na prawo i wołając:

— Niech żyje król Władysław...!

Ten ruch jednozgodny, powszechny, pociągnął z sobą ośmielonych i tych, co się wahali...

W milczeniu uroczystem, duchowni i świeccy ciągnęli, pomijając ich, nie patrząc i nie słuchając, na pokoje królowej, aby jej oznajmić o wyborze, zabrać

z sobą Władysława i natychmiast z nim iść do kościoła, gdzie oddawna wszystko przygotowanem było.

Wiedli więc królewicza krużgankami do katedry przybranego w szaty duchowne, albę, dalmatykę, humerał, sandały, manipularz, stułę i złocistą kapę.

Za nim szła matka, Kazimierz mały i mnogi dwór, który razem z Sonką, w śmiertelnej trwodze słuchając wrzawy, czekał na tę godzinę...

Ściągnęło się to do południa, tak, że arcybiskup Wojciech zaledwie miał czas mszę świętą rozpocząć.

Kościół niewielki naówczas nabity był cały, podwórce zalegał lud ciekawy... Spytkowi ze Straszem z początku do drzwi się trudno była docisnąć, cóż dopiero do wnętrza...

Ale Strasz, którego zemsta czyniła szalonym, a szaleństwo dawało mu siłę nadzwyczajną, począł od progu rozpychać i rozbijać ludzi, torując drogę Spytkowi, którego strój i pańska postawa zmuszała bojaźliwszych do ustępowania.

Tak oba wichrzyciele, nieumiejący poszanować domu bożego, dostali się niemal do środka i potrafili zająć miejsce takie, z którego senatorom, a szczególniej marszałkowi Oleśnickiemu pięściami grozili, naigrawali się i łajali.

Królowa musiała na to patrzeć, lecz że wszystko już przezwyciężonem zostało, a obrzędu koronacji nic już przerwać nie mogło, łatwiej zniosła tę obelgę, którą wiedziała komu zawdzięczać. Strasz bowiem nietylko się nie krył z sobą, ale równie zuchwale jak Spytek naprzód wyrywał.

Oburzyło to wszystkich, lecz przykład marszałka Oleśnickiego wyzywanego a cierpliwego na obelgi, innym też posłużył za wzór, tak, że nikt nie okazywał nawet, iż widzi ich i słyszy. Odwracano oczy, śpiewy księży i głos organów tłumiły ich wywoływania. Tylko w czasie przysięgi, którą powtarzał król za arcybiskupem, cisza dozwalała szyderskim śmiechom i odgróżkom Spytka rozchodzić się po kościele.

Duchowieństwo mogłoby się było domagać wyrzucenia precz tych ludzi, którzy spokoju domu bożego nie szanowali, lecz biskup Zbyszek wolał im dać bezkranie znęcać się nad sobą i drugimi, wiedząc, że najstraszniejszym dla nich sędzią będzie ogół ludzi, których czynili świadkami swego szału.

Tak się też i stało: Spytek i Strasz nie znaleźli tu jednego człowieka, któryby ich warcholstwo usprawiedliwił! Rozstępowali się od nich wszyscy, jakby otrzeć o nich obawiali.

Raz wszedłszy do kościoła, gdy długi obrzęd koronacyjny przeciągnął się do samego wieczora, musieli pozostać do końca, znużeni i zasromani wreszcie.

Spytek się upierał jeszcze na drodze, gdy król młody do zamku będzie powracał, zastąpić mu i krzyczeć, lecz Strasz był na pół omdlały, schrypły i w końcu on nawet widział, że szaleństwo ich, którem ludzie gardzili, nie mogło mieć skutku żadnego.

Ostatni śpiew kościelny skończył się prawie o mroku.

(Dokończenie nastąpi).

WOJCIECH BYCZEK.

Walkowa dola.

I.

Majowy wieczór.

Piękny majowy dzionek dochodził już końca.

Promienna tarcza słońca sunęła pomalusieńku, poważnie po wschodnim czystym lazurze nieba, rzucając pożegnalne tęcze swych blasków na ziemię cichą, zbudzoną z zimowego snu do nowego życia, strojną przecudnym welonem różnobarwnych traw, kwieci i ziół.

Jak daleko okiem sięgnąć — i wzdłuż i wszerz — wszędy zieleń, umajone polne drzewa, kwiaty rozsiane rzęsiście po szerokich łąkach, wzgórkach i miedzach A nad rozmarzoną ziemią unosi się jakiś urok i czar nadziemski; płynie na cichych skrzydełkach przesłodki wiew przepojony wonią; drgają w przestrzeniach rozwiewne czarowne tęcze, siejąc wokół rajski zapach z skarbnicy darów wiosny roześmianej, radosnej, pełnej królewskiego majestatu i piękna.

O maju, maju! Najrozkoszniejsza poro roku! Wszędy jakaś słodycz niebiańska niewysłowiona, upajająca miłością... kojąca łzy i bóle. Cichy pieszczotliwy wietrzyk niesie woń rozkoszną gdzieś z ogrodów, pól i gajów kwitnących życiem wiosny. Wszędy kwiaty, śpiew ptasich chórów, szmery, muzyka powietrzna, napełniająca serca ludzkie błogiem uczuciem zachwytu i uniesienia, miłości i harmonji...

Nad mchem porosłą strzechą mojej chaty kwitną jabłonie, grusze i wiśnie mleczną kiścią kwiecia i dzwonią roje pszczół, pijące słodkie nektary...

Świergot ptasi rozlewa się dokoła słodką falą...

Skowronki dzwonią i dzwonią...

Nucą pieśń nadziei i pokrzepienia temu ludowi ubogiemu... jego łzom, tęsknotom — bólem serdecznym.

W dali, nad jasnym zdrojem w wiklinie brzmią słowiki pieśń miłości radosną, tęskną, rzewną — szlochają...

Przyśpiewują tym znękanym życiową pielgrzymką duszom ludzkim — płaczącym łzami goryczy i rozczarowania nad czarną głębią swojej doli...

Dzwonią swe akordy rozkoszne młodym kochającym się sercom na większą miłość i upojenie...

Dzwonią tym mogiłom zapomnianym, smętnym...

Tym wzgórkom cichym, tym jałowcom modrym, tym gajom brzozowym, sosnowym lasom, dąbrowom czarnym, zbożnym łanom i tym szarym chatkom wioskowym...

Wszystko, co żyje — śpiewa na chwałę Boga i człowieka obarczonego brzemieniem trosk życiowych...

Miluchne grona dzieci, podobnych tym kwiatom polnym i motylkom srebrnym — bujają roześmiane i rozczochrane po łąkach i wzgórkach okwieconych, krzycząc radośnie, w błogiem upojeniu wiosny pogrążone...

Pełno wesela i nadziei, gwaru i brzmień...

A te wszystkie głosy, śpiewania, szmery strumieni, szepty drzew rozmarzonych, szlochy, wzdychy zlewają się w jeden harmonijny potężny dźwięk i z rozjękiem wieczornych dzwonów płyną ogromną falą w dal, w przestrzenie — do źródła wszechżycia, gdzie zdążają ludzkie myśli, pragnienia, modlitwy, tęsknoty, jęki... skąd na zbolałe serca spływa zdrój ukojenia, ochłody... gdzie cisza wiekuista...

Słońce już zgasło za sinymi wzgórzami...

Trawy i kwiaty polne w odblaskach zorzy wieczornej lśniły się rzęsistemi perłami rosy...

W przestworzach drżała melodja plaszęca...

Och, Boże: jak miło, jak cudnie i błogo na łonie swojskich pól — bogato umajonej natury...

Radosnych uniesień nadziemska jakaś moc, uzbraja me serce miłością wielką, potężną, garnącą pod swe skrzydła wszystką brać moją wieśniaczą, co swemi dłońmi czarnemi dobywa chleb z tych pól rodzimych..

A w upojonej radością czy tęsknotą duszy budzą się jakieś drgnienia pożądań wiekuistości; rosną uczucia znikomości ziemskiej i niosą ją w gwiaździste pustynie nieba — gdzie Duch Ciszy króluje, gdzie mieszka w swym majestacie Bóg...

Woń jakaś niebiańska otacza duszę moją, czującą miłość swą wobec Tego, co przed jej wzrokiem rozlał w przyrodzie nieogarniony cud życia...

I chciałbym tam ku Niemu płynąć w nieskończoność, by u stóp Jego złożyć w rozmodlenia hołdzie duszę swoją, zachwyconą wielkością Jego...

Lecz rozmodlona dusza znajduje Go tu — w przyrodzie — w woni kwiatów, w szumie wichrów, w najlichszej roślince, w potężnych dębów gwarze, w polu, w chacie, w kropelkach rosy, w ciszy i gromach, w głębi jestestwa swojego — i obcuje z Nim na każdym kroku...

A na ziemi mojej rozkoszny maj...

Pełen poezji wieczór majowy rozpostarł nad wioską moją rozkoszne skrzydeł swych tęcze...

Z za wzgórków wzniósł się uśmiechnięty księżyc, spoglądając czarnymi oczyma na umajoną ziemię, tonącą w blasków jego rozlanym srebrze...

O, Boże, jakiś Ty wielki! Spoglądając na dzieło rąk Twoich, czuję się prochem marnym...

I upajają się ludzkie serca estetyczną rozkoszą majowego wieczoru, wielbiąc w uniesieniu wielkość Stwórcy i miłość Jego ojcowską, którą otoczył świat...

Wszak On, z miłości ku nam, jako Ojciec najlepszy rozlał przed wzrokiem naszym to wszystko, co pojmuje i czego pojąć nie może ograniczony umysł nasz. Wszystko to, co przed nami — dla nas. A my, jak wyrodne dzieci, czarną niewdzięcznością odpłacamy Mu za dobroć i miłość Jego nieskończoną...

O Panie! korząc się przed wielkością majestatu Twego: miej litość nad słabością naszą — błagamy!

II.

Walek.

W taki to zaiste nieskończenie piękny wieczór wyszedł sobie Walek z swej chaty niskiej, mchem od starości porosłej i szedł błędnym, chwiejnym krokiem polną ścieżyną, wśród białych brzóz ku cmentarzowi...

Szedł w szarej koszuli, z gołą głową, z rozczochranymi włosami, podobny tym białym płaczącym brzózkom zwieszającym nad smutną głową Walka swe długie sploty...

Szedł samotny, smutny, zadumany...

Niekiedy zwrócił swe smutne źrenice ku bladej twarzy miesiąca, płynącego cicho i spokojnie wśród morza drgających gwiazd i smutnie westchnął:

— O, życie moje straszne — o ciężka dolo moja! O losie mój złośliwy — okrutny! Boże mój, o Boże! Wokoło śliczny majowy wieczór... a gdzieżeś ty, najdroższa Zochno moja? O dolo moja —dolo!

I szedł sobie prosto polną drożyną ku bramom cmentarnym — ku najdroższej mogile...

Świat cały spał w ciszy wieczornej, ukołysany śpiewem słowików i skąpany w miesięcznej poświacie... Białe brzozy rzucały na Walka swój cień, a on szedł, trącając bosemi stopami uśmiechające się radośnie do niego kwiatki polne; szedł, niosąc w duszy swojej nieutulony ból i żal ogromny na mogiłę ukochanej... Dokoła panowała cisza wieczorna, rozkołysana przesłodką melodją słowików...

Walek nie słyszał nic: żadnej muzyki, ani przecudnych ech wiosennych uniesień, bo w duszy jego młodzieńczej łkał ból wezbrany, kwiliła rozpacz, jęczała skarga nieutulona — bezdenna... On słyszał dokoła jeno głuchy, żałosny jęk zbolałej swej duszy, jeno rozpaczny niebosiężny krzyk rozsterki targającej i żrącej mu duszę... Nie zachwycał, nie upajał go czarujący widok krajobrazu zalanego morzem księżycowych blasków, bo on nie widział nic, prócz nieodstępnej towarzyszki — tęsknoty, idącej krok w krok za nim, jak potępieńcza zjawa. Nie widział nic, prócz otulonej mgłami wspomnienia, żyjącej wciąż w jego wyobraźni sylwetki ukochanej Zochny — wspomnienia, które goryczą poiło jego serce, grając mu w duszy hymn boleści... On nie widział nic w tych przestrzeniach, tylko błoń cmentarną, najeżoną rzędami krzyżów i zielonych mogił... On czuł się najnieszczęśliwszym z ludzi, opuszczony, samotny, jak ptak obłąkany na ogromnej dzikiej pustyni...

Żal przeogromny owładnął duszę Walka, który walcząc z dziką, rozpasaną pożogą rozpaczy wskazującej mu wysokie cmentarne drzewa — wzdychał urywanym głosem bolejącej piersi:

— Przeklęte niech będzie życie me smutne...
Przeklęty cios straszny — te losy okrutne!...

I zaczął spoglądać po najwyższych drzewach, jakby czegoś tam szukał... lecz trwoga jakaś, a potem wstyd obezwładniły buntowniczą myśl Walka... Bolesnym krzykom duszy jego odpowiadały tylko smutnem echem groby, ku którym zbliżał się szybkim krokiem... I zdało mu się, że słyszy cmentarne, beznadziejną zadowodzące skargą dzwony na całej ziemi — nad jego jęczące stratą. I wsłuchany w dziki szum grający mu w uszach, rzucił w stronę grobów bolesny krzyk:

— O grzmijcie dzwony głosem żałoby,
Niech wasze tony biją w te groby!
Niech fala grzmiąca cmentarną ciszę
Wokół roztacza — bo wzdych „jej" słyszę
Bijący z głębi mogiły!...
O skargo moja skargo skrzydlata —
Leć pełna siły na krańce świata,
W przestrzeni bezkresną dal —
I unieś z sobą mój żal — niech skona!...

(Ciąg dalszy nastąpi).



Uśmiechają się.

Uśmiechają się do mnie falujące łany
Złocistym pyłem słońca otulone, całe,
Zdala słyszę brzęk kosy i rój rozśpiewany
Żniwiarzy, który nucą pieśń Bogu na chwałę.

Czuję zapach dokoła dojrzałego ziarna,
Co z powiewem wietrzyka mknie nad nasze wioski
Byle tylko minęła nas ta chmura czarna,
Co niesie w swojem łonie światu głód i troski!

Byle tylko nie przyszły zagłady zwiastuny,..
A opłacą się naszych żniwiarzy mozoły,
Kiedy na swoich wozach ze złotemi runy
Wjadą pod opiekuńczy dach swojej stodoły!...

Robert Rydz.

PRECZ Z OJCZYSTEJ ZIEMI!



Jakże niedawne są te czasy, a jak odległymi być się nam wydają, kiedy na ziemiach ojców naszych, w prastarej dzielnicy Piastowskiej, butny Prusak gospodarzył. Pamiętne to czasy i nigdy niezapomniane, choć dziś, dzięki bohaterstwu wojsk francuskich i amerykańskich, przy boku których i nasi żołnierze niejednego wielkiego czynu dokonali, należą one do bezpowrotnej przeszłości.

W czasach niewoli naszej żandarm pruski był wszystkiem w Poznańskiem i na Pomorzu. Niczem było prawo, niczem sprawiedliwość, a jeno wola naszego gnębiciela stanowiła o wszystkiem. Gnębiono wszystko, co polskie, prześladowano najniewinniejszych ludzi, aby siłą kraj polski przemienić na ziemię niemiecką, a mieszkańców jej sprusaczyć lub wygnać z tej ziemi.

Oto na naszym obrazku, malowanym przez sławnego artystę malarza, Wojciecha Kossaka, widzimy taki moment znęcania się nad chłopkiem polskim. Do zajętego uprawą ziemi, którą po ojcach swych oddziedziczył, przyjeżdża żandarm pruski i każe się mu precz z niej zabierać. Nie pomogły prośby i tłomaczenia, biedny chłopina musiał iść tułać się po obczyźnie, a Prusak dokonał zemsty za klęskę pod Grunwaldem, jaką mu zadał król Władysław Jagiełło w dniu 15 lipca 1410 roku.

Trafił frant na franta.

Stara gadka.

Wojciech, gospodarz, miał groszy niemało, bo żył oszczędnie — a rzec można śmiało, że kto oszczędny, w pracy się nie leni, nie tylko płótno może mieć w kieszeni, ale grosiwa na procent nie dawał, bojąc się, by go kto nie wziął na kawał. Jeno srebrniki, także sporo złota, wsypał do garnka; wzięła go ochota, tak cenny skarb swój w miejsce tuż przy domu, tuż koło okien schować pokryjomu; a więc w oborze — o pfe! to niełądnie! Co tam o ładność, lecz ich nikt nie skradnie, bo któżby myślał, że pieniądz przy gnoju? tu najpewniejszy owoc pracy, znoju!

Jakoż w północy, gdy już nikt nie czuwa, sam się cichutko z komory wysuwa i swe zamiary w uczynek obraca, poczem szczęśliwy do domu powraca.

Ale przypadek zdarzył się niemały: oczy sąsiada wszystko to widziały. — Sąsiad był chciwy, niedobre człeczysko, przyszedł i z garnkiem wziął grosiwo wszystko, a miejsce owo starannie przykrywa, by nikt nie poznał, że niema grosiwa.

Ale właściciel nie był w ciemię bity, miał chłopski rozum, miał spryt wyśmienity — wszystko już wiedział na drugi dzień z rana... I tylko westchnął: Fortuno kochana, powróć się do mnie z złodziejskiej kieszeni, a nikt już twego spokoju nie zmieni! A potem smutny chodzi, myśli, duma: Ręce to mego sąsiada i kuma zabrały mienie — posądzić nie można — jak tu poradzić? głowo nieostrożna! Ja cię obedrę do jednego włosa, gdy mi nie wrócisz kochanego trzosa! Lecz raptem uśmiech zawitał mu w twarzy: dobra myśl, rzecze — jak się też podarzy?

Nazajutrz Wojciech idzie do sąsiada z twarzą wesołą i tak doń zagada:

— Kumie kochany, wiem, żeście życzliwi nawet obcemu; więc was to nie zdziwi, że i ja z prośbą tu do was przychodzę... Bądźcie mi dzisiaj towarzyszem w drodze! Idę na jarmark piękną kupić krowę. Jabym przepłacił drożej o połowę; wy mi najlepiej w kupnie poradzicie, bo wy się na tem dobrze rozumiecie.

Kum trochę pobladł, coś go przeszło mrowie. Nie wie, co mówić, drapie się po głowie:

— Nie mam pieniędzy — poco pójdę? — prawi — A Wojciech znowu; — Bądźcie tak łaskawi, ja mam trzos pełny, gdy chcecie, pomogę, tylko się zaraz wybierajcie w drogę!

Więc poszli razem. Targują tę, ową krowę to dużą, małą, czarną płową. — Żadna Wojtkowi udać się nie może...

— Ha! już nie kupię przy dzisiejszej porze — powiada wkońcu do swego sąsiada. — Szkoda nam czasu, — powrócić wypada.

Ale z powrotem na piwo wstąpili, a gdy się obaj nieco pokrzepili, zagadnął Wojciech, trącając po boku trzos niby pełny, (tak, ot, dla uroku):

— Krowym nie kupił, lecz to nic nie znaczy; z temi pieniądzmi już zrobię inaczej, które tu w trzosie ot, pękatym siedzą... Mam w pewnem miejscu, (lecz o tem nie wiedzą ni żywe dusze), garnuszek pieniędzy.

Dziś tam dosypię te z trzosa co prędzej; niech razem będą w ukryciu bzpiecznie... Ach, ten garnuszek napełnię koniecznie!

Słysząc to sąsiad, wpadł na pomysł nowy:

— Pieniędzy w garnku było do połowy, którem ja zabrał, szkoda, wielka szkoda drugiej połowy, jaką dzisiaj doda. — On jeszcze nie wie, że tamtych brakuje, bo tak wesoły, szczęśliwy się czuje. Lecz wiem co zrobię — zaniosę o zmroku garnek z pieniądzmi, gdzie był, a sam z boku czuwać już będę. Gdy srebrników roje dosypie w garnek, zabiorę jak swoje. — A spora sumka dzisiaj mi przybędzie... Jakiż ja rozum mam zawsze i wszędzie!

Myśl tę wyborną w wieczór wykonywa, skąd zabrał pieniądz, tam niesie, przykrywa, a sam za płotem spokojnie się chowa.

Zaledwie skrył się, gdy Wojciech, jak sowa, cichaczem znowu wychodzi z komory i prosto dąży w to miejsce obory, gdzie swe pieniądze znaleźć się spodziewa... Z wielkim pośpiechem garnek wydobywa, a widząc wszystko srebro i dukaty, odetchnął sobie: Znów jestem bogaty! I w głos zawołał:

— Oj, kumie, mój kumie, dobrześ uczynił.— Tak, to ja rozumiem. — Przyniosłeś przecież? Bóg ci zapłać wielki! Ja te pieniądze, na wypadek wszelki, już w inne miejsce bezpiecznie ukryję, aby się w ręce nie dostały czyje!

To mówiąc, z garnkiem do komory wpada, z śmiechem: Ha, ha, ha! ze swego sąsiada.

Cudza krzywda nie utuczy, tylko rozumu nauczy — lecz ten rozum, miły bracie, przyjdzie po honoru stracie! *Franciszek Marzec.*



Poradnik gospodarczy.

Ciecz bordowską sporządza się w następujący sposób: 2 kg. siarczanu miedzi rozpuścić w 10 litrach wody ciepłej, a 2 kg. wapna niegaszonego zgasić z dodatkiem 10 l. wody. Oba te rozczyny zmieszać ze sobą, przecedzić przez płótno i tę mieszaninę rozpuścić w 80 l. wody, poczem mieszanina ta jest gotową do użytku.

Gdy ciecz ma służyć do skrapiania liści, to sporządza się ją z 1 kg. siarczanu miedzi i 1 kg. wapna rozpuszczonego w 100 litrach wody. Ważną jest rzeczą, aby ciecz zawsze do użytku była świeżą, dlatego należy zawsze tylko tyle przygotować, ile potrzeba do użytku, zachowując zawsze podany poprzednio stosunek.

Przy należytej hodowli drzew owocowych, należy chronić je przed szkodnikami, które nie tępione, tak się rozradzają, iż w krótkim czasie potrafią zniszczyć owoc naszej ciężkiej pracy.

Do szkodników tych należą — myszy i norniki zające, ptaki i cały szereg owadów.

Myszy i norniki gnieżdżą się w suchem miejscu zarosłem suchą trawą i ogryzają korzenie drzew. Jedynym sposobem na nie jest wypłoszenie z zajętej nory i zabijanie, lub podawanie trutki celem ich otrucia.

Wielkie szkody w ogrodach owocowych wyrządzają zające, zwłaszcza zimą przez ogryzanie kory drzew, zwłaszcza młodych. Aby temu zapobiedź, należy otaczać ogrody gęstem osztachetowaniem, tak, aby zając się nie przecisnął, otaczanie młodych szczepów cierniem lub siatką. Wszelkie smarowania drzew różnemi tłuszczami a nawet krwią mało lub zupełnie nie działa na zająca ale zato często szkodzi drzewkom.

Ptaki objadają dojrzałe owoce czereśni i wiśni lub ranią je. Do szkodników tego rodzaju zaliczamy sroki, kawki, wrony, wróble i szpaki. Tu często nie pomaga spędzanie, całych gromad, ale trzeba odstraszać je strzałami.

Największymi szkodnikami są owady. Walka z nimi trudna i żmudna, bo są małe i pojawiają się często w tak wielkiej ilości, że gdyby nam inne zwierzęta nie pomagały, bylibyśmy wprost bezsilni.

Chrząszcze czynią wielkie spustoszenia, objadając liście i pączki kwiatowe, zaś gąsienice czyli pędraki zjadają młode korzonki.

U młodych drzew owocowych pozbawionych należytej opieki, a często i na starszych pojawiają się mszyce; jest ich kilka gatunków. Do najbardziej szkodliwych zwłaszcza dla jabłoni jest mszyca wełnista, pojawiająca się w niektórych okolicach w takiej ilości, że niszczy dosłownie jabłonie w całej okolicy. Do tępienia tego szkodnika muszą się zabrać wszyscy hodowcy w okolicy, gdzie się pojawi. To jedyny sposób zapobieżenia rozmnażaniu tego szkodnika. W państwach zaborczych istniały specjalne ustawy przeciw temu szkodnikowi. Mszyce tembardziej są szkodliwe, że nadzwyczaj prędko i w niesłychanej ilości się rozmnażają, a wysysając soki z liści i pędów i ran kory, nie pozwalają się drzewku normalnie rozwijać.

Jan Matysik.



Żniwo.

Błyszczą sierpy w blasku słońca,
Lecą kłosy ścięte,
A wesoła pieśń bez końca,
Płynie na zachętę.

Dzwonią sierpy w żeńców dłoni,
Kładzie się łan zboża,
Na zachętę w pracy dzwoni
Przepióreczka hoża.

Srebrzyste kropelki rosy
Padają na niwę,
Otrząśnięte ostrzem kosy
Płaczą nieszczęśliwe.

Oto żniwa, czas radosny,
Nagroda rolnika
Za pracę jesieni, wiosny,
Radość go przenika.

Będzie znowu chlebuś nowy,
Cieszą się wieśniacy,
I ochotnie chylą głowy
Do owocnej pracy.

St. Nowak.

Wśród puszcz i stepów.

(Ciąg dalszy).

W parę dni Serce prawe wyszpiegował, że Tobiasz późnym wieczorem postawiony był na warcie przy szałasie Orła czubatego. Łatwo stąd mógł wnosić, że stary pozostanie tam do rana. O samej północy wyruszył na trudną wyprawę, uzbrojony tylko w długi nóż myśliwski. Upewniwszy się, że go nikt nie śledzi, myśliwiec wszedł do wody; była płytka, do kolan mu nawet nie sięgała, postępował więc dalej, trzymając się brzegu i starannie unikając najlżejszego szelestu. Dostawszy się do skraju zarośli, przystanął, a rzuciwszy bacznie wzrokiem dokoła, spostrzegł wkrótce, że miał prawie prosto przed sobą więzienie wodza Osagów. Ażeby się do niego dostać, trzeba było przebyć niewielką przestrzeń odkrytą, na szczęście jednak i na niej rosło w pewnych odstępach kilka krzaków, a z nich jeden niedaleko wejścia do szałasu.

Przeczekawszy czas jakiś, podpełznął z ostrożnością do krzaka, potem do dalszego, aż póki nie dostał się do tego, który stał tuż przy szałasie. Pozostawało już tylko wśliznąć się do środka szałasu; tymczasem Tobiasz, jak na złość, z największą gorliwością chodził dokoła, nie zatrzymując się ani na chwilą. W tej przechadzce tak się niekiedy zbliżał do leżącego pod krzakiem myśliwca, że ten mógłby był ręką za odzienie go pochwycić. Serce prawe zaczynał już myśleć, że nie będzie innego sposobu, tylko przypuścić Tobiasza do tajemnicy, obawiał się jednak niezmiernie, aby ich nie zdradził mimowoli w pierwszej chwili przestrachu. Postanowił więc czekać jeszcze. Tymczasem Tobiasz, znużony nakoniec przechadzką, stanął przy wejściu szałasu i ręce na piersiach założył. Korzystając z głębokiej ciszy, myśliwiec z wprawą zadziwiającą naśladował świerszcza i powtórzył to trzy razy — i wnet z głębi szałasu odpowiedział mu odgłos podobny na znak, że jeniec usłyszał i zrozumiał przyjaciela.

Tobiasz tej nocy nie śmiał jeszcze zbliżyć się do Orła czubatego; długie czuwanie znużyło go wkońcu i zaczął poziewać, — myśliwiec spostrzegł to z zadowoleniem i czekał cierpliwie. Nie zawiódł się w oczekiwaniu: stary poziewał raz po raz, aż wreszcie ku wielkiej radości myśliwca usiadł na ziemi, i oparłszy się plecami o szałas, wkrótce chrapać zaczął w najlepsze. Teraz już łatwo było wśliznąć się do szałasu. Wielką radość była Orła czubatego na widok ukochanego przyjaciela, musiał jednak głośne jej objawy powstrzymać. Obaj porozumieli się w kilku słowach, wymówionych cichym szeptem, lecz wieści, których sobie udzielili wzajemnie, nie były wesołe. Zmartwiło to myśliwca, że wódz Osagów nie mógł mu powiedzieć, kiedy wyrok śmierci miał być na nim wykonany, a tamten znów zasmucił się brakiem pewniejszych danych o przybyciu jego wojowników.

Jakkolwiek Orzeł czubaty mógł był z łatwością wymknąć się teraz z pomocą przyjaciela, żadnemu z nich nawet na myśl to nie przyszło, wiedzieli bowiem, że wówczas biedna Ella wpadłaby z pewnością w moc Tygrysa zębatego, a ten pomściłby się na niej okrutnie. Przyjaciele nie przedłużali swej rozmowy nad konieczną potrzebę, chociaż Tobiasz chrapał; co chwila mógł się przebudzić, obaj zaś zgodzili się na to, że niebezpiecznie byłoby przypuszczać go bez uprzedniego przygotowania do tajemnicy. Serce prawe powrócił do lasu tąż samą drogą, którą się tu dostał.

I znowu czas upływał wśród niespokojnego oczekiwania. Myśliwiec niecierpliwie wyglądał przybycia Osagów, którzy opóźniali się więcej, niż należało według jego obliczeń. Dnia pewnego myśliwiec stał na czatach, jak zwykle, gdy z przerażeniem ujrzał na placu pod lasem gromadkę Indjan, zajętą wbijaniem w ziemię pali i malowaniem ich czarną farbą. Wiedział on aż nadto dobrze, do czego takie pale służyły. Twarz jego, zawsze posępna, powlokła się jeszcze głębszym smutkiem; westchnął ciężko i półgłosem wyrzekł sam do siebie:

— To dobrze; uratować go nie zdołam, lecz zginę przynajmniej z nim razem.

Potem udał się jaknajśpieszniej do ustronia, w którem Wattsonowie przez dzień cały się ukrywali. Zawiadomił ich o tem, co się działo, oni zaś obaj upewnili go, że go nie odstąpią i jeśli nie będą mogli żadnej pomocy przynieść wodzowi Osagów, życie w jego obronie poświęcą. Wszyscy trzej zbliżyli się ostrożnie do wioski indyjskiej; łatwo było spostrzec, że panował tam ruch niezwykły, — zwłaszcza kobiety i dzieci okazywały wielkie ożywienie, jakby w przeddzień jakiejś uroczystości.

Serce prawe nie usnął tej nocy ani na chwilę. Raniutko, o świcie, odalił się nieco od towarzyszy i w miejscu ustronnem, gdzie go nikt widzieć nie mógł, padł na kolana, gorącą modlitwą wzywając łaski Tego, który nie zapomina o najuboższych swych dzieciach. Po ukończeniu modlitwy wyjął z torby myśliwskiej paczkę w papier owiniętą, z którą się nigdy nie rozstawał. Gdy papier rozwinął, ukazała się mała książeczka, po której okładce znać było, iż często musiała być braną do ręki. Serce prawe przycisnął do ust książeczkę i wyjął z niej kopertę, na której był wypisany adres następujący: „Do rąk własnych don Ramona de Saavedra, właściciela haciendy del Milagro w okolicy miasta Hermosillos". Niżej podany był napis w tych słowach: „Ktokolwiek znajdzie tę książeczkę i umieszczone w niej pismo, proszony jest o oddanie jednego i drugiego według adresu". Następnie myśliwiec wyjął z koperty ćwiartkę papieru zapisaną i odczytał ją od początku do końca.

— Tak, w innym świecie dopiero ich zobaczę — mówił myśliwiec sam do siebie — a jednak, jakżebym pragnął z własnych jego ust, w tem życiu jeszcze usłyszeć przebaczenie...

Serce prawe włożył list do koperty, a tę do książki, obwinął wszystko starannie w ten sam papier i schował do myśliwskiej torby. Potem wstał i wolnym krokiem wracał do towarzyszów. A wtem zatrzymał się nagle i uważnie wsłuchiwać zaczął; po chwili położył się i ucho do ziemi przytknął. Gdy po chwili powstał, na twarzy jego malowało się wielkie wzruszenie; szybkim krokiem pospieszył do kryjówki, gdzie obaj towarzysze niespokojnie go wyglądali.

— Jeźdźcy się zbliżają — wołał do nich z daleka — i to znaczny oddział jeźdźców. Daj Boże, aby to byli Osagowie! Poczekajcie tu na mnie, panowie, ja pobiegnę na zwiady.

Nie czekając odpowiedzi, puścił się w głąb lasu i znikł wkrótce z oczu przyjaciół, uradowanych pomyślną wieścią. Myśliwiec nie potrzebował iść daleko; tentent licznych kopyt końskich coraz wyraźniej słyszeć się dawał, — jeźdźcy zmierzali prosto w tę stronę. Serce prawe stanął, słuchając uważnie; potem wdrapał się na drzewo, a z ust jego wydobył się przeraźliwy

krzyk jastrzębia i rozległ się szeroko po lesie. Powtórzył on to wołanie trzy razy w krótkich odstępach, następnie w dłuższych dwa razy. Zaledwie skończył, takiż sam odgłos, w ten sam sposób powtórzony, odpowiedział mu z daleka.

— To oni! — wykrzyknął radośnie myśliwiec, ze zwinnością wiewiórki spuszczając się z drzewa i biegł w stronę, z której nadjeżdżali jeźdźcy. Postacie ich ukazały się wkrótce pomiędzy gęstwiną leśną. Byli to Osagowie, — lecz ze zdumieniem poznał myśliwiec pośród jadących na przedzie starych, prawie niedołężnych wojowników, którzy już do wypraw podobnych rzadko należeli, brakło zaś najmłodszych i najdzielniejszych. Spodziewał się najmniej dwustu Osagów, w hufcu tym zaś było ich około ośmdziesięciu.

— Bracia moi zaledwie na czas przybyli — rzekł do nich — o mało się nie opóźnili i przyjaciel Orła czubatego sądził, że zupełnie o wodzu swym zapomnieli. Widzi on teraz ze smutkiem wielkim, że część tylko plemienia Osagów uznała za słuszne przybyć na ratunek wodza, — najsilniejsi i najmłodsi woleli oczywiście wylegiwać się w swoich wigwamach.

— Mój brat niesłuszne ma podejrzenie — odpowiedział jeden z najstarszych Indjan. — Gdy przybyli wojownicy ze straszliwą wieścią, że wielki i ukochany wódz wpadł w ręce psów Pawnisów, zastali tylko mniejszą część mieszkańców po wsiach, reszta wybrała się na daleką myśliwską wyprawę. Odszukiwanie ich i sprowadzenie potrwałoby za długo, w każdym razie nie zdążyliby na czas. Osagowie złożyli więc radę wojenną i postanowili, aby każdy, kto tylko broń utrzymać zdoła, wyruszył na ratunek wodza. Trzech ludzi tymczasem puściło się w pogoń za polującymi i zapewne wraz z nimi już także są w drodze.

— To dobrze — rzekł myśliwiec — przykro mi, że Osagów posądziłem niesłusznie. Bardzo to nieszczęśliwie, że lud rozproszył się tak nie w porę, lecz na to rady niema. Gdy przybędą ci, którzy się na myśliwską wyprawę wybrali, już tu będzie po wszystkiem. Bracia moi muszą natychmiast gotować się do walki; niema chwili do stracenia, gdyż nieprzyjaciele dziś jeszcze zamierzają Orła czubatego zamordować. Nie mogę ukrywać przed braćmi moimi, że walka będzie bardzo nierówna. Pawnisy mają ze trzystu wojowników, a zatem więcej niż trzech na jednego. Czy zatem bracia moi gotowi są pomimo to ratować wodza wraz ze mną, krew i życie oddać za niego?

— Osagowie chętnie życie poświęcą dla wodza! — ozwały się liczne głosy; wszyscy, co do jednego, powtórzyli te słowa.

— To dobrze — rzekł myśliwiec i twarz jego się rozjaśniła. — Przedewszystkiem niech Osagowie natychmiast wybiorą z pośród siebie tymczasowego wodza, który ich do boju poprowadzi.

— Brat nasz Serce prawe będzie wodzem Osagów w zastępstwie Orła czubatego! — wykrzyknęli na to wojownicy jednogłośnie.

— To dobrze — powtórzył raz jeszcze myśliwiec — nie traćmyż czasu. Niech Osagowie natychmiast zsiadają z koni i tu je zostawią pod strażą dwóch najstarszych wojowników. Inni wszyscy niech idą za mną.

Rozkazy te śpiesznie wykonane zostały. Wszyscy zsiedli z koni, które dwóch starych Indjan odprowadziło dalej na stanowisko, poczem gromadka wojowników w milczeniu szła za myśliwcem; prowadził on ich do miejsca, gdzie obaj Wattsonowie z niecierpliwością największą na niego czekali. Cicho, bez najlżejszego szelestu, przesuwały się ciemne postacie indyjskich wojowników przez gąszcze leśne. Dużo zależało na tem, aby nieprzyjaciel nie dowiedział się przed czasem o ich przybyciu. Serce prawe chciał zaskoczyć Pawnisów znienacka; przy tak nierównych siłach, tym sposobem jedynie mógł mieć jakąkolwiek nadzieję wygranej.

Stary Wattson z synem ucieszyli się niezmiernie na widok Osagów. Teraz przynajmniej zamiast iść na śmierć pewną prawdziwą walkę mieli przed sobą. Myśliwiec natychmiast wydał stosowne rozporządzenia. Hasłem, wzywającem do boju, miało być kucie dzięcioła.

Nadeszła wreszcie stosowna chwila; myśliwiec znając dobrze zwyczaje indyjskie wiedział, kiedy prawdziwe niebezpieczeństwo zagrażać zaczyna skazane mu i w samą porę dał znak umówiony. Kucie dzięcioła jest tak pospolite po lasach amerykańskich, że Pawnisy uwagi na to hasło nie zwrócili. Lecz poznać je musiał Orzeł czubaty; z oczu strzeliły mu błyskawice, na ustach dziwny uśmiech zaigrał. A tymczasem Wattson z synem i gromadką Osagów stanął przy boku myśliwca, który śpiesznie z drzewa się spuścił.

Gdy Ella, rozpaczą wiedziona, podbiegła do miejsca, na którem stał Tygrys zębaty i Jeleń wrzący z ojcem, Serce prawe wypadł ze swej kryjówki i z bronią podniesioną w ręku przedzierał się przez tłumy Pawnisów; tuż za nim szli Wattsonowie i gromadka Osagów z głośnym okrzykiem wojennym. Wówczas to młoda dziewczyna usłyszała wołanie:

— Wielki biały myśliwiec! Osagowie!

25. Pomoc niespodziewana.

W tej samej chwili, gdy okrzyki te słyszeć się dały, Tygrys zębaty podniósł tomahawk w górę i poskoczył do Orła czubatego. Krew zastygła w żyłach Elli, w oczach jej pociemniało, lecz odważna dziewczyna w mgnieniu oka odzyskała przytomność i mimowolnem wiedziona uczuciem, wyprzedziła okrutnika i stanęła przed wodzem Osagów, osłaniając go własnem ciałem.

— Usuń się, blade dziewczę, bo cię z nim razem zamorduję! — krzyknął Tygrys ze złością.

Ale Ella się nie usunęła, tylko wyciągnęła ramiona, jakby niemi chciała odepchnąć śmiertelne pociski. Wtem przed oczyma mignęła jej olbrzymia postać białego myśliwca... Serce prawe przebił się w jednej chwili przez tłumy dzikich, i ze zwinnością pantery rzuciwszy się na wodza Pawnisów, wywinął kolbą i wytrącił mu z ręki tomahawk, a ręka, która go trzymała, opadła bezwładna. Za myśliwcem biegli obaj Wattsonowie; noże ich szybko porozcinały więzy Orła czubatego, który natychmiast sięgnął po tomahawk, upuszczony przez Tygrysa.

Tymczasem Pawnisy, którzy w pierwszej chwili przerażenia nie zdołali zatrzymać białych, oprzytomnieli prędko, i przeciąwszy drogę wojownikom Osagom, nie dopuścili ich do środka placu. Tym sposobem rozdzielili siły dzielnych obrońców Orła czubatego; Jeleń wrzący wraz z ojcem i licznym oddziałem swoim odpierał Osagów, a druga gromadka Pawnisów otoczyła Tygrysa zębatego. Ci mieli przed sobą czterech tylko przeciwników, trzech myśliwców białych i wodza Osagów; gdy jednak ozwał się huk palnej broni, stracili głowę i umykać poczęli; ledwie ich powstrzymał Tygrys zębaty, którego na widok tego tchórzostwa prawdziwa wściekłość ogarnęła.

I rozpoczęła się straszna, rozpaczliwa walka. Ci czterej ludzie nieustraszeni stali naprzeciw kilkudziesięciu dzikich wojowników, rozumiejąc to dobrze, że

jeśli Opatrzność nie ześle im pomocy, w końcu zginąć muszą, lecz postanowili drogo sprzedać życie. Stanęli jeden przy drugim, Ellę wziąwszy w pośrodek i na przemiany strzelali. Po każdym strzale jeden Indjanin padał na ziemię zabity lub przynajmniej bezwładny, lecz reszta nacierała z tem większą wściekłością. Osagowie walczyli mężnie, ale zbyt byli słabi, by odeprzeć przemożną liczbę nieprzyjaciół i przyjść w pomoc ukochanemu swemu wodzowi. Położenie stawało się coraz niebezpieczniejsze; Tygrys zębaty zniecierpliwiony pobudzał swych wojowników, którzy ze wszystkich stron przyskakiwali do bohaterskiej gromadki i dokoła ją otoczyli; on sam ze zręcznością kota umiał zawsze uskoczyć w porę przed kulą i nie był nawet raniony.

Nagle od strony, gdzie walczyli Osagowie, ozwał się huk strzału; potem drugi, trzeci, dziesiąty, — jednem słowem prawdziwa kanonada. Zdziewienie przyjaciół naszych, a także i Pawnisów było tak wielkie, że bój ustał na chwilę. Co to mogło znaczyć? Oczywiście pomoc niespodziewana przybywała jednej ze stron walczących, lecz której? Wątpliwość niedługo trwała; Osagowie podnieśli grzmiący, radosny okrzyk trjumfu, zawtórowały im inne głosy, w których łatwo było rozpoznać wykrzykniki białych ludzi. Serce prawe nasłuchiwał z natężoną uwagą i jeden z tych głosów snać dobrze mu był znany, gdyż drgnął cały; oczy mu błysnęły i szepnął półgłosem:

— Johnson — a zwracając się do towarzyszy, dodał: — Jesteśmy uratowani; przez chwilę jeszcze odpierajmy napastników, — pomoc się zbliża, chociaż nie pojmuję, skąd tylu naraz się wzięło? Lecz jeden przynajmniej nas nie zawiedzie.

Zeledwie wymówił te słowa, gdy Orzeł czubaty wywinął tomahawkiem, z przeraźliwym okrzykiem wojennym rzucił się w środek gromadki Pawnisów, i dosięgnąwszy Tygrysa zębatego, nim tamten zdołał pomyśleć o obronie, jednym zamachem ugodził go śmiertelnie. Wódz Osagów byłby już przedtem zaspokoił gwałtowną żądzę zemsty, lecz uczuł, że obowiązek nie pozwalał mu odstępować Elli i towarzyszy. Usłyszawszy o pomocy nie mógł się powstrzymać i z zuchwalstwem szalonem poskoczył do nieprzyjaciela.

W innej chwili nie byłoby mu to uszło na sucho, lecz Pawnisy nie mieli obecnie czasu myśleć o pomszczeniu wodza, gdyż nagle dał się słyszeć tentent licznych koni i na placu boju ukazał się Johnson, za nim don Ramon de Saavedra, Cezar z Benem i Dikiem, Sandolwal, Ruperto i cała gromadka jeźdźców zbrojnych, tak dobrze nam znana. Wybawcy przybyli w samą porę; losy bitwy rozstrzygnęły się bardzo prędko. Pawnisy, przerażeni widokiem tego hufca białych wojowników, uzbrojonych w pioruny, umykać poczęli z pośpiechem.

Przyjaciele nasi byliby wcale za nimi nie gonili, gdyż nie pragnęli rozlewu krwi, musieli jednak udać przynajmniej pogoń, by dostać się do wioski indyjskiej, gdzie był więziony Tobjasz. Wszyscy więc puścili się za uciekającymi, oprócz don Ramona i kilku innych, którzy pozostali przy Karmeli i Elli. Uwolniono bez trudności starego sługę, którego radości opisywać chyba nie potrzebujemy. Obie panienki zajęły się tymczasem opatrunkiem rannych Indjan. Ella niespokojna była o Jelenia wrzącego, gdyż nie widziała go od rozpoczęcia bitwy, a poczciwa dziewczyna nie mogła zapomnieć, że on jeden pośród tej zgrai okrutników po ludzku się z nią obchodził. Nie wiedziała także, co się stało ze Stokrotką polną; zaraz po rozpoczęciu bitwy kobiety, dzieci i starcy uciekli śpiesznie do wsi. Wkrótce młoda dziewczyna bystrym swym wzrokiem dostrzegła na skraju lasu, gdzie przed chwilą toczyła się najzawziętsza bitwa z Osagami, dwie postacie pochylone nad trzecią, leżącą na ziemi. Zbliżywszy się nieco, Ella poznała w nich starego Ludowika i Stokrotkę. Serce jej ścisnęło się smutnem przeczuciem; przyśpieszyła kroku, — don Ramon i Karmela podążyli za nią.

Przeczucie nie omyliło Elli: Jeleń wrzący, raniony kulą w bok, leżał na trawie; śmiertelna bladość pokrywała piękną jego twarz, chociaż żaden jej rys nie zdradzał cierpienia; spojrzenie miało wyraz spokojny i obojętny. Stokrotka klęczała przy nim i zalewając się łzami, cisnęła jego rękę w swoich dłoniach. Gdy ujrzała Ellę, wybuchła głośnem łkaniem. Tamta uklękła także przy rannym i usiłowała go pocieszać. On się łagodnie uśmiechnął i szepnął:

— Sarenka modrooka...

Ella opowiedziała Karmeli i jej ojcu, jak wiele młody tęn Indjanin uczynił dla osłodzenia jej losu podczas niewoli; don Ramon wysłuchał tych słów z zajęciem, a ponieważ znał się na opatrywaniu ran, sam zaraz obejrzał troskliwie Jelenia. Ku wielkiej radości młodej dziewczyny, upewnił ją, że rana nie jest niebezpieczna. Natychmiast urządzono wygodne nosze i przeniesiono rannego do chaty Ludowika, który go miał doglądać razem ze Stokrotką. Ella obiecała odwiedzić przyjaciółkę przed wyjazdem; teraz opuściła ją śpiesznie, gdyż serce jej rwało się do ojca, do braci, których wśród zamieszania i bitwy jeszcze prawie nie zdążyła powitać. Don Ramon i Karmela z daleka tylko widzieli podczas owego zamętu ukochanego swego Rafaela, którego tak gorąco pragnęli uściskać; z jaką tęsknotą wyglądali teraz jego powrotu, domyślają się zapewne czytelnicy.

Zwycięzcy ukazali się wkrótce, wiodąc w trjumfie oswobodzonego Tobjasza. I nastąpiło wreszcie rzewne rozczulające powitanie, którego żadne pióro opisać nie zdoła Uściskom i wykrzyknikom nie było końca, a łzy radości we wszystkich oczach błyszczały.

Mniej rzewne lecz równie serdeczne było powitanie rodziny Wattsonów, a brał w niem udział nietylko Tobjasz, ale i poczciwy murzyn Cezar. Dik z takim zapałem opowiadał ojcu i starszemu bratu o jego dobroci, roztropności i poświęceniu bez granic, że obaj wyciągnęli dłonie do biedaka, którym niegdyś tak pogardzali.

Serce prawe, którego odtąd zwać będziemy Rafaelem, zbliżył się wreszcie do Johnsona, stojącego na uboczu.

— Tobie, zacny, nieoceniony przyjacielu, zawdzięczam to szczęście — rzekł, ściskając obie jego dłonie. — Sprawiłeś mi taką niespodziankę, o jakiej marzyć nawet nie śmiałem.

A jednocześnie i stary Wattson mówił do swoich dzieci:

— Dziękujmy Ojcu Przedwiecznemu, który się ulitował nad nami i winy przebaczyć nam raczył.

Wszyscy złożyli ręce, jak do modlitwy, a po chwili Ben i Dik, jednozgodnem uczuciem wiedzeni, zbliżyli się do murzyna i raz jeszcze kolejno go uściskali.

Przez tydzień cały obie rodziny obozowały w sąsiedztwie wioski Pawnisów, w której pozostali tylko ranni, — reszta umknęła w dalsze strony. Ella pomagała Stokrotce w pielęgnowaniu Jelenia, i niebezpieczeństwo prędko minęło; młody Indjanin podniósł się

po kilku dniach i podążył za swoimi, zabierając ze sobą żonę i starego Ludowika, ten bowiem tak się przywiązał do Pawnisów, że nie chciał się z nimi rozstawać. Ella żegnała ich ze łzami w oczach; nigdy też więcej nie spotkała się z nimi w życiu i o dalszych ich losach nie słyszała.

(Ciąg dalszy nastąpi).



MACIEK BZDURA GADA:

Na drugą niedzielę, jakeśmy się zeszli u Matusa na bajki, tak zaraz wszyscy wsiedli na Wawrzka z gębami, aby opedzioł, jak to było z tem otruciem kumoterka, o którem kiejsik prasił. A Wawrzek na to:

— Jak było, to było, a że było, to prawda! Otóż pada ta somsiadka do kumoterki: „Idźcie wy — pada — do japtyki, kupcie orsyniku, wsypcie do mlika, on wypije i juz będzie po niem.

— No to ja tak zrobie — odpedziała pirsa.

Pogaworzyły jesce chwile ze sobą i somsiadka posła do chałpy. Zaraz tez ta niby przed tem chora kumoterka goni do japtyki i powiada, coby jej japtykarz dał orsyniku.

— A co wam to, babo — pyta japtykarz — po truciźnie?

A baba po cichu na to:

— Chcę, doprasam sie łaski pana, mojego otruć, bo mi bardzo wyrządza i bije.

Aptekarz namyślił sie chwile i dał jej miałkiego cukru, nakazał go z mlekiem lub kawą dać wypić chłopu i kobieta poszła do domu.

Wiecorem, gdy chłop wracał z roboty do domu, zatrzymał go aptykarz i pedział mu, co go jego baba chce otruć za to, ze ją wcoraj sprał. A przytem mu pedział, ze on, to jest niby japtykarz, dał babie zamiast trucizny miałkiego cukru.

— To jak wam baba — prawi japtykarz — będzie chciała dać cego sie napić, to sie napijcie, a potem tak na pozór pokazcie, ze sie wam robi niedobrze, a dalej to wy tam juz sami dacie sobie rade.

Chłop podziękował japtykarzowi jaz do samych kolan i posed do chałpy. Ino przysed, zona stawia mu na stole wiecerze, a on pada, ze go coś mgli we środku i wolałby sie cego napić. Baba w ocymnieniu podaje mu mleko i pada:

— No to napij sie nieboraku ociupinke mlika, to ci ulzy na sumieniu. — I daje mu garnek z mlekiem zaprawionem niby trucizną.

Chłop sie scyrze napił, bo mu bardzo smakowało, a baba omało z skóry nie wylazła z wielkiej radości. Ale chłop, ino wypił mleko, tak zacął udawać okrutne boleści, a potem ryps na ziemie i przytaił oddech, jakoby juz był niezywy.

Baba wzięła coprędzej powróz poprzednio nasykowany. W powale była dziura na strych, w którą wtykano powróz, kiedy zabitą świnię chciano podciągnąć do góry, aby ją po śmierci dokumentnie oporządzić. Jednym zamachem włozyła koniec powroza z kneblikiem do dziury, przywlokła chłopa pod dziure, zadzierzgnęła mu pętlice na kark i jazda na górę, aby go krztynke od ziemi podciągnąć.

A chłop zasie, widząc, co sie święci, zdjął poprędce pętlice z syji, a kobylice, która w sieni stojała, uwiązał u powroza. A następnie ułapił w garść palicę dębową i schował się za piecem.

Baba, podciągnąwsy kobylice ku górze, zlazła ze strychu, wyleciała na drogę i pocęła krzyceć a lamentować, co się jej biedacysko mąz powiesił. Zbiegli się ludzie, pytają i rozmąwiają z babą, cemu się to stało i dlacego i jak, a ona ani gadać ni moze, ino lamentuje, a lamentuje, załując niescęśnika, który taki dobry był, a tak przed casem z tego świata zesed i to całkiem dobrowolnie.

Dopiero jak ktoś z ciekawsych do izby wsed, tak sie wszyćko wykryło, ze nie chłop, ale kobylica popełniła samobójstwo. A i chłop ni mógł dłuzej za piecem wytrzymać, wysedł z ukrycia i pocął tak długo palicą babe okładać, póki ta nie pocęła męża przeprasać i nie przyrzekła, ze sie na amen poprawi.

Polezała babina pare tygodni potem, ale taka naucka nie posła na marne, ale obojgu sie wielce przydała, bo zyli odtąd kilka lat jesce w wielkiej zgodzie i mieli potem pięcioro dzieci.

Skońcył Wawrzek opowiadanie, chłopi popatrzyli w garście, cy wrazie cego siły nie braknie, a baby sie zawstydały troche, ale kuzda se pomyślała, ze jakby to ona robiła, toby zrobiła dokumentniej. Nikt sie jednak nie odzywał, bo kuzden bał się zdradzić ze swemi myślami, ino Józek Myrda pada:

— Bo juzby Poniezus raz z temi babami skońcył! Namnozyło się to tyle tego, ze ani rus się od nich opędzić. Jak se cłek tak zacnie rozwazać, to zaraz pozna, ze źle jest na świecie. Bo wiadomo przecie, ze niemal wszystka zwierzyna, cy to w lesie, cy na polu, cy nawet w wodzie, ma swój cas ochrony. Kto sie ino zna na polowaniu, to wi, ze raz na to, raz na inse zwirze polować nie wolno. W jednem miesiącu ochrania sie zające, w innem sarny, a jesce w insem cietrzewie, kuropatwy i inną gadzinę. A nawet raków, choć to brzydkie stworzenie, w kazdym casie łowić nie wolno. A ino jeden człowiek jest u Pana Boga upośledzony i na niego nima casu ochronnego. Niech sie ino trafi jaki taki żgac we wsi, to wszyćkie Kaśki i Maryśki bez calusieńki rok nie dadzą mu spokoju, ino ciągiem na niego polują i polują, póki która nie ułapi i nie pojmie na wiecne potępienie.

— Słuśnie padas — ozwali się Kasper na to. — To ta jesce u nas pół biedy, bo jak się trafi chłop oporny, jak nie przymierzając nas Maciek Bzdura, to i bez casu ochronnego upolować się nie da. Ale gorzej jest w inksych krajach. Tam na taką dwunogą zwierzynę, która się upolować nie dała, ale zyje w kawalirskim stanie, nałozono podatki. I cy to słuśnie. No pewnie, ze nie. Bo jakby była równość, toby i na zająca, który ucieknie przed kulką, nałozono podatek, a i kuropatwe, która się nie da w sieci złowić opodatkowanoby. Dlacegoz ino jeden człowiek ma być ze wszyćkich zwierząt najgorsy. Powiadają, ze jest w sejmie w Warsiawie jeden taki poseł, który nic insego nie robi, ino dniem i nocą układa interpelacje do rozmaitych ministrów. Trzebaby się do niego zwrócić, aby on zainterpelował ministra oświaty, cemu tak jesce głupio jest na świecie.

Podobała się myśl Kasprowa wszyćkiem, więc postanowili wysłać do owego posła deputacje o interpelacje, a potem se opowiadali inse gadki, które, jak Poniezus dockać pozwoli, i ja wam opowiem.

Jak budować domy włościańskie.

Staraniem każdego człowieka od początku jego istnienia, jest mieć dach nad głową. Wymaganie to, które zmuszało człowieka pierwotnego do mieszkania w jaskiniach, wraz z postępem rozwoju jego umysłu, nauczyło go budować dom mieszkalny. Rozwój budownictwa idzie z postępem cywilizacji i każdy postęp cywilizacji zaznacza się na sposobie budowania. Dom, który u człowieka pierwotnego składał się jedynie z dachu i chronił go jedynie przed opadami atmosferycznymi, z biegiem czasu zaczął go chronić przed zimnem, a zaspokajając wymagania przybierał równocześnie charakter coraz więcej zdobniczy. Z tego powstały różne formy architektoniczne, które są niejako znakami postępu cywilizacji. Domy włościańskie jako budowane przez ludzi o małych wymaganiach i jeszcze mniejszych środkach, nie mogły iść w parze z innemi budowlami i to wyrodziło odrębny swojski sposób budowy i zdobnictwa. Ciekawe i bardzo ładne są zabytki budownictwa z XVIII i XIX wieku, rzadko niestety już istniejące. Nie miejsce pisać o tem w „Roli" jako piśmie niefachowem, chciałem zwrócić jedynie uwagę na pewne błędy popełniane przy budowie domów włościańskich, które zatracają swojski wygląd wsi polskiej, a których można bez szkody i żadnych kosztów uniknąć.

Do niedawna domy włościańskie budowano z bardzo małemi wyjątkami z drzewa i kryto słomą; rzadziej gontami. Jakkolwiek dach taki dobrze wykonany był jednym z najtrwalszych, bo bez poprawy mógł przetrwać 50 lat, jednak nieogniotrwałość i braki tego materjału, jaki coraz więcej się daje odczuć, zmusił do szukania innych materjałów dekarskich. W ostatnich latach przed wojną zaczęto coraz częściej kryć sztucznym łupkiem znanym pod różnemi nazwami jak „Eternit", „Wiek", „Asbit" i t. p. Materjał ten posiada wszystkie wymagane zalety, jak lekkość, trwałość, szczelność, i ogniotrwałość, żałować jedynie wypada, że właściciele domów zezwolili na umieszczanie napisów reklamowych na dachach, co psuje spokojny charakter wsi jaskrawie, odbijając się od otoczenia.

Drugim błędem jakkolwiek znikającym, lecz bardzo powoli, jest budowanie pod jednym dachem budynków gospodarczych, jak stajnie, chlewy i stodoły. Nie przeczę, że wygodą jest dla gospodarza i gospodyń mieć na oku swój dobytek, jednak zdrowotność i niebezpieczeństwo pożaru powinny wzgląd ten usunąć na plan drugi. O ile zagranicą rzadko już można spotkać ten sposób budowania włościańskich zagród, o tyle u nas szczególnie w Małopolsce stale się go spotyka.

Wielkim błędem jest również zanadto mały wymiar wysokości ubikacyj mieszkalnych i brak podłóg w izbach. Przyczynia się to do rozwijania chorób, bo nic tak nie wpływa ujemnie na zdrowotność, jak właśnie brak powietrza i światła. Brak podłóg uniemożliwia utrzymywanie czystości, a zarazki chorobotwórcze, które wsiąkają w ziemię wraz z wodą, wirują przy poruszeniu miotłą w powietrzu i przez organy oddechowe dostają się do płuc, powodując różne choroby. I dzięki temu wsie nasze dziesiątkowane są przez suchoty rokrocznie, porywające olbrzymią ilość ofiar. A przecież wykonanie podłogi nie jest wcale droższe od żmudnego ubijania ziemi i konieczności ciągłego poprawiania. Jedyną przyczyną, że podłogi z desek są jeszcze rzadkością na wsi, jest okoliczność, że je potrzeba od czasu do czasu myć. Również koszt większych okien jak i większej wysokości budynku jest bardzo mały, a korzyści, jakie się zyskuje tak na zdrowiu jak i na wyglądzie budynku, są olbrzymie. Znam miejscowości, które czerpią pokaźne dochody ze swych lepiej urządzonych domów, które chętnie są wynajmywane przez mieszkańców miast, którzy nie wyjeżdżają do zdrojowisk bądź z powodu olbrzymich kosztów, bądź też w poszukiwaniu ciszy i spokoju, których zdrojowiska o większej frekwencji zwłaszcza dać im nie mogą. Szczególnie w okolicach leśistych lub nadrzecznych budowa takich budynków zadawalających choćby bardzo proste wymagania stokrotnie się opłaci.

Wojna światowa wśród tylu spustoszeń i szkód dała większości młodych ludzi sposobność ujrzenia, jak się zagranicą buduje i z wyjątkiem kilku ciemnych i temsamem ubogich narodów wszędzie wsie są budowane lepiej niż u nas. Niejeden obawia się jedynie kosztów, jakie mogłyby pochłonąć takie ulepszenia. Tych uspokoję, że koszta są tak nieznaczne, albo nawet w wielkiej ilości wypadków żadne, że każdy budujący powinien je zastosować.

Polska stojąc między pierwszemi państwami europejskiemi, powinna dorównać im nietylko sportem, wojskiem i wyglądem miast, ale też i wyglądem wsi.

Stanisław Nowak.

Śluby u murzynów.

Kongo, jako kolonja belgiska, znajduje się pod opieką misjonarzy belgijskich. Jeden z nich, ojciec Achiel, opowiada taki wypadek z początków bieżącego stulecia.

Przed dwudziestu laty dawałem ślub tubylcom; była to pierwsza moja rola na nowym terenie; uroczystość wydała mi się bardzo pierwotna i skromna. Narzeczona nie miała na sobie nic prócz haleczki; a narzeczony, pełen dumy, że jego ukochana była tak bogato przybrana do ślubu, sam porzucił wszelkie pretensje i stanął do ślubu zupełnie nago. Byłem w niezwykłym kłopocie.

Dziś czasy się zmieniły zupełnie. Dziś murzyni współzawodniczą z sobą, jeśli chodzi o stroje, i na ten moment uroczysty ozdabiają się jaknajbardziej wyszukanie. Dziś zresztą śluby odbywają się u murzynów bardziej masowo, niż w początkach mej pracy misyjnej.

Pewnego dnia miałem udzielić sakramentu małżeństwa piętnastu parom odrazu. Wszyscy kandydaci do stanu małżeńskiego — płci obojga — ubrani byli biało, wszyscy mieli kapelusze i trzewiki. Wprawdzie zdarzyło się, że parę osób miało na jednej nodze trzewik biały, a na drugiej czarny, ale na takie drobiazgi któżby tam zwracał uwagę! Dość, że wszyscy byli elegancko ubrani.

Właśnie w czasie ślubu zdarzyło się, że jeden z przyszłych mężów zemdlał. Było niezwykle gorąco, a ten zemdlony na czas ślubu nałożył na siebie wszystko, co miał z garderoby. Chciał w dniu ślubu elegancko wyglądać. Miał więc na sobie: dwie pary spodni, dwie koszule — jedną wełnianą i jedną płócienną, dwie kamizelki, żakiet a na to wszystko nałożył ciemne palto. Na szyi zaś miał — i to mu się najbardziej podobało — kołnierzyk, który kiedyś był biały.

W tym stroju biedny murzyn poprostu parował, nic też dziwnego, że stracił oddech i padł zemdlony na ziemię. Tytułem pierwszych kroków ratunkowych wylano nań, nie dbając o wyszukany strój, kilka wiader wody, to go otrzeźwiło.

KRONIKA.

Od Administracji. Zawiadamiamy wszystkich Sz. Czytelników, że na czas żniw wydamy kilka następnych numerów bez okładki. Będzie to tylko przy trzech lub czterech numerach. Oszczędności przez to uzyskane obrócimy na koszta piękniejszych ilustracyj, konkursy i t. p.

Głodomór we Lwowie. We Lwowie popisuje się obecnie w sztuce głodomorstwa pewien Wielkopolanin, występujący pod pseudonimem Kuroki. Głodówkę rozpoczął 22 czerwca. Zamknięto go w szklanej, obszernej klatce. Jest to właściwie kiosk, cały oszklony. Zamiast sufitu, ma nad sobą bardzo gęstą siatkę, aby do wnętrza dochodziło powietrze. Wewnątrz za kotarą ma urządzoną sypialnię. Jest tam łóżko, umywalnia i t. d. Druga część klatki stanowi „salon". Widzimy więc biurko, na niem książki medyczne i gazety, kilkanaście pudełek papierosów i zapałek. Obszerny fotel, krzesło i stolik, na którym stoi duża flaszka z kolońską wodą i rozpylaczem. Kuroki bowiem w ten sposób odświaża sobie powietrze. Nadto powszechną uwagę zwraca duży balon wody sodowej o pojemności 40 litrów. Od czasu do czasu gorączkę swoją gasi kroplami wody sodowej. Drzwi wchodowe do tej klatki są zamknięte na klucz, który pozostaje w przechowaniu u notarjusza. Nadto notarjusz wejście opieczętował, aby nikt nie mógł dostać się do wnętrza. Tem samem nie można Kurokiemu dostarczyć żadnego pożywienia. Przed głodówką stan zdrowia tego głodomora badał lekarz. Po dziesięciu dniach, to jest dnia 1 b. m. w obecności notarjusza i zaproszonych gości drzwi otworzono, Dr Bratler zbadał stan zdrowia Kurokiego, stwierdzając stan serca bez zmiany, poczem znowu drzwi zamknięto i opieczętowano. Kuroki oświadczył, że w przyszłym roku musi postawić rekord swej głodówki na 42 dni.

Niezwykłe zjawisko przyrody na Pomorzu. Z Nowego Błonowa na Pomorzu donoszą, że w sobotę 25 czerwca zbudził mieszkańców szum silny jeziora. Mimo godziny wczesnej (3-cia rano), zgromadził się tłum ludzi. Oczom widzów przedstawił się następujący widok: W środku jeziora następowały co 5 do 10 minut gwałtowne wyrzucania ziemi na wysokość 2—3 m. Charakterystycznem przytem było, że częstokroć wielkie kawały ziemi nie tonęły, lecz pływały na powierzchni wody. Całe jezioro pokryło się mułem i smród zgnilizny rozszedł się po okolicy. Ku wieczorowi jezioro się uspokoiło. W niedzielę dnia 26 ub. m. wybuchy powtórzyły się kilkakrotnie. Woda w tym dniu zabarwiła się na miejscu wybuchu na zielono. Zjawisko to tłómaczą nagromadzeniem gazów w ziemi, które następnie wybuchały.

Przepowiednie astrologa. „Siegodnia", pismo wychodzące w Rydze, zamieszcza przepowiednie astrologa Ralfa Betora, który w związku z ostatniem zaćmieniem słońca, wystawił horoskopy dotyczące Polski, Finlandji i Rosji sowieckiej. Horoskopy te wypadły najpomyślniej dla Polski, w której astrolog przewiduje konsolidację wszystkich sił społecznych dla walki z tendencjami wywrotowemi. Państwowość polska występuje pod znakiem siły. Dla Finlandji astrolog przepowiada ciężką sytuację na rok 1928. Co się zaś tyczy Rosji sowieckiej, ma tam nastąpić zajadła walka. Silne wystąpienie sił antybolszewickich jest spodziewane w r. 1928. Okres czasu do 1931 roku ma być okresem stałego osłabienia komunizmu. W Rosji sowieckiej mają wystąpić na widownię nowe siły.

Kot czy człowiek? We wsi Bavamste (Banat) żył 70-letni Jeka Bogdanow, niezbyt w okolicy lubiany jako dziwak unikający ludzi. Jedyną jego namiętnością były gołębie, które hodował tak czule i troskliwie, jak inni wychowują ukochane dzieci. Ponieważ naturalnym nieprzyjacielem gołębi są koty, przeto starzec darzył specjalną nienawiścią tych drapieżników. Ilekroć udało mu się upolować kota, wiązał mu łapy, poczem siekierą odrąbywał głowę i zwłoki wyrzucał na gnojowisko. Właściciele pomordowanych kotów oczywiście dowiedzieli się o tych praktykach i zapłonęli żądzą zemsty. Kto ją wykonał, niewiadomo. Dość że przed kilku dniami znaleziono Bogdanowa zamordowanego w okropny sposób: czaszka była zgruchotana straszliwym ciosem, a oblicze podrapane mnóstwem zadraśnięć pochodzących wyraźnie od kocich pazurów. Nos był odgryziony. Później dopiero znaleziono go w ogrodzie. Zabobonni wieśniacy zaczęli przebąkiwać, że to koty zemściły się w ten sposób na swym dręczycielu. Jednakże kot nie mógł rozwalić człowiekowi głowy, a cios był tak potężny, że cząstki mózgu obryzgały cały pokój. Prócz tego szafy i komody wyłamano, a cała gotówka z nich zniknęła. Władze prowadzą śledztwo w tej niezwykle tajemniczej sprawie.

Ofiara rozszalałego byka. Wypadki z rozjuszonemi nagle zwierzętami domowemi, zwłaszcza w porze obecnych upałów, nie należą do rzadkości, nie wszystkie jednak kończą się tak nieszczęśliwie, jak to właśnie zdarzyło się przed kilku dniami w jednej z wiosek położonych we Włoszech.



Oto rozszalały byk, będący własnością gminy, zerwał się z łańcucha i popędził główną ulicą wsi, a napotkawszy w drodze tamtędy przypadkiem przechodzącego wieśniaka, nabił go na rogi i podrzucił w powietrze. Tymczasem nadbiegli ze wszystkich stron przerażeni mieszkańcy wsi, uzbrojeni w widły i strzelby, a jeden z nich, wydrapawszy się na drzewo, celnym strzałem ubił szalejące zwierzę. Lecz ofiary jego nie dało się już ocalić. Biedak wśród okropnych męczarni w kilka godzin potem wyzionął ducha.

Była zbyt piękną... W kościele św. Marka w Wenecji zauważył jeden z angielskich turystów klęczącą przed ołtarzem młodą kobietę, niepospolitej urody. Z rąk jej spływała krew, kobieta jednak starała się to ukryć i robiła widocznie wysiłki, aby jak najdłużej utrzymać się w klęczącej pozycji. Anglik przybliżył się do nie-

znajomej piękności i zorjentował się w niebezpieczeństwie jakie jej groziło. Zatamował swą chustką upływającą krew i wezwał pogotowie lekarskie. Kobietę przewieziono do szpitala. Tam opowiedziała nieszczęsna samobójczyni tragedję swego życia. Nazywa się Anastazja Syromatnikow i jest Rosjanką, urodzoną na Syberji. Liczy lat 31 i uważa się za najnieszczęśliwszą kobietę na świecie. Powodem zamachu samobójczego, na jaki się odważyła, jest jej uroda, olśniewająca każdego mężczyznę.

— Mam lat 31, — żaliła się piękna Anastażja — i nigdy nie zaznałam szczęścia. Zdawałoby się, iż powinni mnie otaczać wielbiciele, z pośród których wybiorę takiego, który mi najbardziej przypadnie do serca. Tymczasem życie stało się dla mnie katuszą, zabija mnie samotność. Kto się zbliży do mnie, patrzy jak w obraz, a potem ucieka. Chciałam wyrwać nieraz z ust miłych mi mężczyzn wyznanie — dusza moja krzyczała: „Powiedz, że mnie kochasz, będę najwierniejszą twą niewolnicą!“. Nacóż więc zdała mi się uroda? Modliłam się, aby Pan Bóg oszpecił me ciało, nie zostałam jednak wysłuchana. Postanowiłam więc umrzeć i uklęknąwszy przed obrazem Madonny przecięłam brzytwą żyły. Poco ratujesz mnie doktorze i przeciągasz w nieskończoność pustkę mego żywota?

Nie jest to odosobniony wypadek lęku przed pięknością. Wszak i u nas można spotkać panienki przystojne, nie biedne, z wszystkimi zaletami duszy i ciała, które nie mogą wyjść za mąż. A tymczasem brzydkie i częstokroć złe już dawno pożegnały się z panieństwem. Możnaby tu przypuszczać, że zawielka piękność przeraża i odstrasza.

Wesele na migi. W miasteczku włoskiem Aleksandrja pod Bolonią, odbyła się przed kilku dniami niezwykła uroczystość zaślubin. Żenił się bowiem głuchoniemy artysta malarz Arigo Travesci z Franciszką Ivaldi, głuchoniemą córką starego, patrycjuszowskiego rodu. Uczta weselna odbyła się w miejscowym instytucie dla głuchoniemych. Do stołu biesiadnego zasiadło 80 osób. Na obliczach nowożeńców i gości widać było radość i szczęście, choć nie umieli tego wypowiedzieć. Przy stole panowało głuche milczenie. Wypowiedziano jednak cztery mowy weselne i były one dowcipne i pełne głębokich myśli, skoro wywołały śmiechy i zadowolenie. Mówcy jednak nie posługiwali się słowami, których nie mogli wydobyć z gardła, lecz gestami rąk. Dobrze już po północy zakończyła się zabawa, a zamiast muzyki funkcjonował kinematograf, który uprzyjemniał czas weselnym gościom.

Krwawy dramat rozwiedzionych. Krwawy dramat rozegrał się onegdaj w Paryżu w jednym z domów. przy ul. Courcelles. Mieszkało tam rozwiedzione małżeństwo Grosjean, które po przeprowadzonej separacji rozeszło się i oczekiwało obecnie definitywnego rozwodu. Onegdaj pan Grosjean, z zawodu szofer, przyszedł do mieszkania i oświadczył, że zabiera swoje rzeczy, aby się przeprowadzić. Małżonka nie chciała się na to zgodzić. Na tem tle przyszło do gwałtownej kłótni. Mimo to Grosjean zaczął wynosić jakieś przedmioty na korytarz. Wtedy żona jego, w chwili gdy Grosjean odwrócony był do niej tyłem, wyjęła z szuflady rewolwer i oddała do niego strzał, kładąc go trupem. Zbrodniczą żonę aresztowano.

Spaleni żywcem. Straszny wypadek wydarzył się onegdaj w miejscowości Pont de la Motte we Francji. W willi zajmowanej przez kapitana sekcji samochodowej Leloupa wybuchł z nieznanych przyczyn pożar. Kiedy nadbiegli sąsiedzi, willa stała już w płomieniach. Przy pomocy straży pożarnej udało się wkońcu ugasić ogień. Kiedy wtargnięto wkońcu do wnętrza willi, oczom obecnych przedstawił się straszny widok: na łóżku leżały dwa zupełnie zwęglone trupy kapitana Leloupa i jego żony. Na drugiem piętrze willi znaleziono trupa 17-letniej służącej, zgniecionej sufitem, który runął wskutek pożaru. Prócz tego znaleziono dwa trupy zupełnie zwęglonych dzieci kapitana. Przyczyną pożaru był prawdopodobnie wybuch nafty. Zagadką jest, dlaczego nikt się nie uratował, bo drzwi oszklone z pokoju kapitana wychodziły na tarasę willi, skąd z łatwością można było wyskoczyć.

Sumienny egzekutor. Egzekutor, któremu polecono zająć ruchomości pewnemu opornemu mieszkańcowi wsi Arnon, we Francji południowej, nie płacącemu od kilku lat podatków, przybywszy do chaty dłużnika, nie znalazł tam prawie żadnych ruchomości, dłużnik bowiem zdołał je ukryć. W chacie nie było też ani dłużnika, ani jego żony, natomiast egzekutor podatkowy zastał tam sześcioro dzieci. W protokole więc dokonanego zajęcia napisał: „Znalazłem w chacie, zająłem i wystawiłem na sprzedaż: Stół, skrzynię drewnianą, cztery stołki, piecyk żelazny i sześcioro dzieci“.

Popłatny zawód. Policja francuska aresztowała w Paryżu zawodowego żebraka kawiarnianego. Podczas rewizji znaleziono u niego zaszytych w ubraniu 15.000 franków w papierach, 2.000 franków w złocie, oraz dużą ilość dolarów amerykańskich. Żebrak podał, że pieniądze te zaoszczędził sobie w czasie 30-letniej żebraniny po kawiarniach paryskich.

Testament starego kawalera. Osobliwością swego rodzaju jest testament Dr John Moore Swaina, lekarza z Long Clowson, w hrabstwie Leicester, w Anglji. Cały swój majątek, wynoszący z górą 5 miljonów przeznaczył Dr Swain na propagandę bezżeństwa. Zdaniem testatora, przyrost ludności jest niepożądany i wszystkiemi sposobami trzeba zapobiegać mnożeniu się ludzi, gdyż w przeciągu trzystu lat, grozi kuli ziemskiej przeludnienie. Ludzie współcześni powinni już zacząć myśleć o przyszłości i starać się nie pomnażać rodu człowieczego. Wątpliwą jest rzeczą, czy rząd angielski dopuści do zrealizowania tego osobliwego testamentu, uważając poglądy Swaina za niemoralne.

Zagadkowe wykopaliska. W londyńskiem muzeum archeologicznem wystawiono niedawno arcyciekawe okazy, pochodzące z wykopalisk. Mister Clarke, który zajmuje się z upodobania geologicznemi studjami natrafił w hrabstwie Suffolk na te wykopaliska, spoczywające w szychcie wapna. Są to kamienie, wielkości kurzego jaja. Na każdym kamieniu głowa ludzka. Przenajrozmaitsze typy. Jest ich pięćdziesiąt. Niektóre w przedziwnej piękności. Twarze męskie i kobiece. Uczeni angielscy łamią sobie nad tem głowę, jak te rzeźby wykonano i czy wogóle są to rzeźby. Niektórzy są zdania, że to skamieniałe twarze jakiejś przedhistorycznej rasy karłów. „Te głowy — powiada Clarke — żyły kiedyś, tak, jak znajdujemy w bursztynach liście i owady, a nawet małe rybki. Inni uczeni twierdzą, że są to skamieniałe lalki. Oprócz głów i twarzy ludzkich wykopaliska pana Clarke zawierają jeszcze skamieniałe głowy i kadłuby ptaków i zwierząt o dziwacznych kształtach, a wszystko tak miniaturowe, jakby to były zabawki.

Szaleńczy wybryk. Londyn poruszony jest od dłuższego czasu sensacją, jaką wywołał w sferach arystokracji angielskiej proces jednego z jej członków, baroneta sira Gerarda Artura Maxwell-Willshire. Bardzo bogaty sir Gerard, obywatel ziemski i ojciec 7-letniego synka, poznał 22-letnią urzędniczkę miss Joanne Olds. Nazajutrz po poznaniu umówił się sir Gerard z panną

Olds na schadzkę w restauracji. Po obfitej kolacji, na której wypito dużo alkoholu, sir Gerard miał odwieźć ją swoim samochodem do domu. Ale w drodze do domu przyszła mu do głowy osobliwa myśl. Zamiast pojechać do domu, zawiózł p. Olds do miasta i tam w ustronnem miejscu, kazał się jej pod grozą śmierci rozebrać do naga. Gdy przerażona dziewczyna rozebrała się, sir Gerard związał jej ręce, a następnie dobył z samochodu pudło czernidła do bucików i pomalował ją od stóp do głowy na czarno. Następnie zabrał suknie dziewczyny i odjechał. Miss Olds zdołała dowlec się do najbliższej wsi i dała znać policji. Barona aresztowano. Na rozprawie przyznał się do czynu, ale tłumaczył się pijaństwem i neurastenją, nabytą na wojnie. Mimo to skazano go na pół roku więzienia.

Wesoły pomysł. W pewnej wsi na górnej Hesji jeden z uczestników wesela wpadł na oryginalny pomysł, aby dać zważyć wszystkich gości weselnych przed ucztą i po niej. Stwierdzono w ten sposób, że u jednego z gości obdarzonego znakomitym apetytem, różnica wynosiła 5 funtów, podczas gdy kilku innych mogło się poszczycić różnicą tylko trzech funtów. Ogółem różnica ta u wszystkich weselników wynosiła 150 funtów. Największego żarłoka w uznaniu „dzielności“ obdarzono dębowym wieńcem.

Żywcem zamurowana. Na strychach t. zw. kazańskiego dworca w Moskwie, gdzie kryją się włóczęgi i złodzieje na wielką skalę, policja wykryła siedmnastoletnią dziewczynę, zamurowaną żywcem przez jej przyjaciela górnika, który przychodził do niej co wieczór po skończonej robocie. Cały dzień dziewczyna tkwić musiała w kącie, zamurowana, zupełnie bez światła; oddychać mogła tylko przez małą szparę, którą ów górnik wydłubał jej w murze. Aby nie pogubić śladów i łatwo trafić do miejsca, w którem biedna dziewczyna była zamurowana, robił on ślady i znaki kredą na ścianach i suficie. Górnik ten był tak zazdrosny, że nie pozwalał dziewczynie wyjść nawet wtedy, gdy chciała się wykąpać. Zamiast tego sam przynosił jej wodę w wiadrze i kazał myć się w tej kryjówce. Teraz, oczywiście, dziewczyna jest już na wolności, a zazdrosny kochanek stanie przed sądem.

Uprzejmi bandyci. Przyzwyczajono się, że napady bandyckie w Ameryce należą do zdarzeń codziennych i obecnie przestały już tak bardzo interesować publiczność. Jednakże napad dokonany parę dni temu w Nowym Jorku, wprawił w zdumienie nawet najwięcej wymagających amatorów sensacji. Bandyci wywiązali się ze swego zadania w sposób tak niezwykle delikatny, że nawet ich ofiary nie miały im nic do zarzucenia. Mr. Jesse Livermore, znany spekulant na giełdzie nowojorskiej na Wallstreet, który zrobił olbrzymi majątek podczas pamiętnej paniki w 1907 r. przed kilku dniami zaprosił do siebie do swej wspaniałej rezydencji na Long Island swych przyjaciół, pp. Aronsonów, również dobrze znanych w sferach finansjery nowojorskiej. O godzinie 4 rano pani Aronson została zbudzona niesamowitym szmerem za oknem. Po chwili ukazały się końce drabiny, za pomocą której 2 panów we frakach i cylindrach na głowie, uzbrojonych w rewolwery i lampki elektryczne, weszło do sypialni przerażonych już nie na żarty pp. Aronsonów. Panowie bandyci na wstępie bardzo grzecznie prosili swe ofiary, ażeby zachowały się spokojnie, a wszystko będzie dobrze. Następnie zabrali biżuterję wartości kilkudziesięciu tysięcy dolarów, ale wzruszeni płaczem pani Aronson, zwrócili jej pierścionek wartości kilkunastu tysięcy dolarów, z którym pani Aronson za żadne skarby świata nie chciała się rozstać. Dowcipkując, przeszukali kieszenie w ubraniu p. Aronsona i oddali mu zegarek, który też p. Aronson bardzo cenił. Następnie poprzecinali połączenia telefoniczne, poprosili przerażonych pp. Aronsonów o ciche zachowanie się, potem zamknąwszy drzwi na klucz, przeszli do sypialni pp. Levermore, gdzie również zajęli się ścisłą rewizją biżuterji i ulegając błaganiom p. Levermore, zwrócili jej naszyjnik z pereł wartości 80 tysięcy dolarów, zabierając jedynie z toalety kilka pierścieni. Na żądanie eleganckich bandytów, p. Levermore otworzył im kasę, w której, jak zapewniał, nic nie było. Wówczas poklepali go po ramieniu, przyznając, że takiemu bankierowi jak Levermore, można wierzyć na słowo, poczem ulotnili się. Policja, zmobilizowana przez p. Levermore, szuka uprzejmych bandytów, jak dotąd, bezskutecznie.

Godzina przerażenia. W krajach tropikalnych zdarzają się przygody, jakby wyjęte z najbardziej fantastycznej opowieści. Oto w pewnej miejscowości na wyspie Jawie, chorego urzędnika z zarządu monopolu opiumowego miano wraz z ekspedycją przewieźć z jednej miejscowości do drugiej. Droga prowadziła przez las. Na czele ekspedycji jechał jeden z tubylców na koniu. Zanim postępowało ośmiu ludzi, niosących na przemiany nosze z ciężko chorym. Kilku tubylców na koniach, oraz żona chorego, trzymająca dziecko w ramionach uzupełniali tę kawalkadę. Ze względu na stan chorego ekspedycja posuwała się powoli naprzód.



W połowie drogi, gdy właśnie ekspedycja znajdowała się w głębi lasu, napadł tygrys na konia, jadącego na czele kawalkady. Bestja rzuciła mu się na piersi, nie oglądając się na jeźdźca, który widząc co się święci, zeskoczył z konia i uciekł na drzewo. Cała kawalkada przystanęła w strasznej trwodze nieopodal, kryjąc się za drzewami, ale już za chwilę wszyscy prócz chorego oraz jego żony i dziecka, uciekli. Chory próbował dźwignąć się z noszy lecz opadł bezsilnie i nie mógł się już ruszyć. Żona i dziecko zostali przy nim. Trudno opisać ich przerażenie. Należało zachowywać się tak, jakby już nie żyli. A tu dziecko zaczęło z trwogi płakać. Uciszała je matka, tłumiąc własny przestrach. Czekała z przerażeniem chwili następnej, w której tygrys po skończonej uczcie końskiej zbliży się do nich. Widziała, jak tygrys rozszarpawszy konia na części, zażerał się łakomie. Uczta tygrysa przy koniu trwała całą godzinę. Chory człowiek wraz z żoną i dzieckiem, najbliżsi świadkowie tej sceny, przeżyli tę godzinę w nieopisanej trwodze. A tygrys, najadszy się, nawet nie spojrzał w ich stronę i zniknął gdzieś w lesie. Był syty. Po niejakim czasie wrócili tubylcy, podjęto nosze z chorym i kawalkada ruszyła dalej. Po dwóch dniach podróży przybyli na miejsce przeznaczenia. Zdjęto z noszów chorego, aby go wnieść do mieszkania i wtedy zauważono, że nie żyje. Uciążliwa podróż i przerażenie dobiły go.

RZECZY CIEKAWE.

Kamienne lustra.

Pewnej ekspedycji archeologów, która postawiła sobie za zadanie zebrać materjały do historji kolonij brytyjskich, udało się dokonać ciekawego odkrycia w pewnej wsi indyjskiej w pobliżu Hazeeton w Kolumbji brytyjskiej. Chodzi mianowicie o kilka luster kamiennych, używanych w czasach dawniejszych przez pewien szczep indyjski, zamieszkały w dolinie Skeen. Te niezmiernie interesujące i rzadkie egzemplarze składają się z cienkiej warstwy czarnego kamienia, którego dół wydłuża się w specjalną rączkę, a powierzchnia jest doskonale wypolerowana. Jeden z członków szczepu Indjan hazeetowskich pokazał członkom ekspedycji, w jaki sposób używano kamienie jako zwierciadła.

W tym celu powierzchnię zwilżono, a wówczas zwierciadło kamienne odbija twarz ludzką tak ostro i wyraźnie, że można dojrzeć nawet najdrobniejsze włoski i kolor oczu. Tych niezwykłych zwierciadeł używali mężczyźni podczas przygotowań do tańców wojennych i świąt szczepowych.

Jagody probierzem charakteru.

Dojrzały już wiśnie i czereśnie. Soczyste te owoce są probierzem miłości i szczęścia małżeńskiego wprawdzie nie u nas, lecz w Japonji. Młodzież japońska wita radośnie sezony czereśni i wiśni, albowiem wtedy obserwuje się wzajemnie i ze sposobu jedzenia owoców wnioskuje o charakterze i zaletach osoby obserwowanej. Dziewczyna japońska nie odważy się oddać swej ręki wybrańcowi, zanim nie przeżyje z nim sezonu czereśni i nie ujrzy, jak ukochany obchodzi się z temi owocami.

— Nie wychodź, dziewczyno, zamąż — głosi opowieść japońska — jeśli chłopak twój bierze pełną garścią owoce, wsypuje je do ust i zjada łakomie. Taki człowiek jest brutalem i nie warto oddawać mu swego serca. Nie wiąż się dziewczyno, na zawsze z człowiekiem, który nie cieszy się widokiem czerwonych owoców, zjada je obojętnie, jakby to był ryż. Wybraniec twój jest człowiekiem, — na którym piękno i dobroć nie robią wrażenia.

Co może silna wola.

Na ostatniej wystawie obrazów w Paryżu zwróciły uwagę wszystkich na siebie obrazy malarki japońskiej Joncko Jamagaki, które prawie wyłącznie przedstawiały życie w japońskich herbaciarniach. Otóż bieg życia malarki był tak niezwyczajny, że warto, aby się i nasi czytelnicy z niem zapoznali i zrozumieli, co może silna wola.

Owa malarka japońska ujrzała przed 25 laty światło dzienne w nędznej chacie wiejskiej. Prócz niej posiadali jej rodzice 6 dzieci, więc bieda skłoniła ich, że córkę swą, gdy dobiegała 15-go roku życia a była ładną, sprzedali do pewnej herbaciarni w stolicy, które tam zastępują nasze restauracje i kawiarnie. Tam wnet pozyskała sobie przychylność wszystkich swym miłem obejściem, ale pobyt jej zupłnie nagle się przerwał. Gdy oto otrzymała pierwszy urlop, pojechała do domu, pełna radości, że rodzicom swym może zabrać trochę grosza, a rodzeństwu zabawki, i łakocie. W domu rodzicielskim spotkało ją niestety wielkie nieszczęście. Ojciec jej, chory na umyśle od dłuższego już czasu w napadzie szału zabija nożem dwoje młodych dzieci a ją samą, gdy starała się temu przeszkodzić, poranił tak straszliwie, że musiano jej uciąć obie ręce. Długie a straszne miesiące przepędziła Joncko w szpitalu, wahając się między życiem a śmiercią, aż w końcu jednak siły młodzieńcze wzięły w niej górę i powróciły do zdrowia. Ale teraz czarna rozpacz poczęła ogarniać nieszczęśliwą gejszę — jak w Japonji nazywają młodą dziewczynę usługującą w herbaciarniach, — bo cóż robić, jakiej chwycić się pracy — bez rąk! Na szczęście pewien zamożny Japończyk, który ją znał z herbaciarni, zajął się nią, a że okazało się, iż ma upodobanie w malarstwie, opiekun zastawszy ją pewnego razu przy malowaniu, trzymając pędzel w zębach, zaczął ją kształcić w tym kierunku. Zaraz pierwsze próby dowiodły, że gejsza ma talent do malowania, a że ćwiczyła się pilnie, nauka szła sporo naprzód i już po dwuletnich niezmordowanych usiłowaniach obrazy jej zwróciły na siebie uwagę znawców sztuki malarskiej, a dzisiaj gejsza Joncko Jamagaki jest w ojczyźnie swej uznana, za jedną z najzdolniejszych malarek. Ponieważ i w Paryżu wystawione obrazy jej uzyskały poklask, przeto wybiera się do Paryża, aby tu bliżej poznać malarstwo europejskie i jeszcze więcej wydoskonalić.

Wino a wódka.

Wiadomem jest powszechnie, że wódka jak również rum, arak, i t. p. są napojami zawierającymi około czterokrotnie więcej alkoholu (spirytusu) aniżeli wino, nie każdy jednak wie o tem, że ta właśnie cecha wymienionych trunków czyni je dla zdrowia szkodliwymi, podczas gdy wino jako niżej procentowe tych ujemnych cech nie posiada ale co więcej posiada wiele zalet.

Nowością może będzie dla niejednego z czytelników wiadomość, że nietylko ze wszystkich owoców można przygotować wina dla niepoznania podobne do win gronowych, ale również i z żyta. Już dawno zauważono, że ze wszystkich zbóż żyto najlepiej nadaje się do wyrobu wódki, a może jeszcze więcej do wyrobu wina i jak dawniej pracowano nad wyszukaniem najlepszej odmiany jęczmienia dla celów browarnianych tak obecnie pracuje się nad wyszukaniem najlepszej odmiany żyta dla wyrobu z niego wina. Żyto wymyte i zalane słabym roztworem kwasu cytrynowego celem jego wyjałowienia, następnie zalane cukrem i drożdżami winnymi „Vinum" daje pierwszorzędne wino o smaku i zapachu zależnym od gatunku użytych drożdży.

Koszta wyrobu w domu 1 litra doskonałego wina wynoszą 40 gr. do 1 zł., a wino takie do niepoznania naśladować będzie wino gronowe. Aby takie wino sporządzić, trzeba dodać do soku owocowego czystych rasowych drożdży winnych, które w kraju już łatwo można dostać a sposób wyrobu wina jest tak prosty i łatwy, że każdy w domu postępując według odpowiedniego przepisu może wyprodukować u siebie doskonały trunek. Należy oczywista zważyć, aby kupować drożdże wyrabiane w kraju, aby zamiast wydawania pieniędzy za obce wina nie wydawać ich znowu na obce fabrykaty, tembardziej, że powstała fabryka w kraju daje produkt pierwszorzędny. Drożdże te noszą nazwę „Vinum", będąc produktem suchym i trwałym, są bardzo łatwe w użyciu.

Przepisy o wyrobie win znajdzie czytelnik w broszurze inż. rol. L. Spissa. Cena gr. 30. Kraków, ulica Sławkowska 11.

Odpowiedzi Redakcji.

Redakcja nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Pp.:**Florjan Ciebiera** w Rz., **Andrzej Węgliński** w B., **Jan Patulski** w S.: Nadesłane zagadki i szarady zamieścimy w miarę miejsca. — **Kazimierz Wiślicki** w D.: Pisemko owo ledwo dycha, nie wiadomo, czy przeżyje wakacje. Nic dziwnego, gdyż redaguje je człowiek, który nie ma zielonego pojęcia o dziennikarstwie, a wydaje drugi, którego nie stać nawet na opłacenie najkonieczniejszych potrzeb. — **Stanisław Koza** w Z.: Obydwie powieści zbliżają się ku końcowi. Po ich ukończeniu zamieścimy krótszą powiastkę, specjalnie napisaną dla „Roli", oraz dokończymy piękny obrazek nastrojowy, rozpoczęty w dzisiejszym numerze pt.: „Walkowa dola". Zajmie on cztery do pięciu numerów. Następnie rozpoczniemy druk dwóch niezwykle zajmujących, dłuższych powieści. — **Karol Suwada** z Z.: Serdecznie dziękujemy za uznanie. Maciek również się kłania i pozdrawia. Powiada, że jak kapusta obrodzi, to i on może o żeniaczce pomyśli. Teraz jeszcze mu życie miłe. Cześć! — **Leon Łętowski** w S.: Dziękujemy, dla p. Derenia zaczęliśmy wysyłać. Cześć! — **Walenty Biernat** z L.: Serdeczne dzięki za życzenia. Wspomniany numer wysłaliśmy. — **Ochotnicza Str. Poż.** w D.: Zgoda, do wspomnianego czasu posyłać będziemy. — **Marcin Chowaniec** w U.: Wiadoma broszurka jest bez nut; z nutami byłaby o wiele droższa. — **Ludwik Skuza** w Z.: Serdeczne dzięki. numera okazowe z czekami wszystkim wysłaliśmy. Prosimy o dalsze orędowanie. Cześć! — **Ignacy Gauzel** w Z.: Wiadomą kwotę przesłaliśmy. — **Stanisław Hass** z N.: Do Argentyny zaczęliśmy wysyłkę „Roli" od Nr. 27-go.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Wawrz. Miesiączek dla Maćka na papierosy 60 gr., Józef Kajdas z Francji (A Gr. D.) 5 franków, W. Żak z S. na cygaro dla Maćka 20 gr., Anna Serafin z Krakowa dla Maćka 20 gr., Wł. Gucwa z Kąclowy dla Maćka na lusterko 50 gr., P. Domaradzki z Przewłocznej dla Maćka „na sporty" 20 gr.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułooył W. Reichel z H.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ Choroba.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Uczucie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Naczynie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Okres czasu.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Inaczej miłostka.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Dawna miara.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Ptak.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Zwierzę.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Drzewo.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Dzień.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Pies.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj w Azji.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Rodzaj wojska.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Zwierzę.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Jest w drzwiach.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Roślina.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Nakrycie.

Litery początkowe, czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko sławnego bohatera-Polaka.

2. Szarady.

(Ułożył Florjan Ciebiera z Rz.).

I.

Pierwsze i drugie, to jest czyn całości,
Na trzecie idą zwykle politycy,
Pierwszego szukaj w gamy szerokości,
Drugie zaś znajdziesz w zaimków tablicy,
Całość, wynalazek największy na świecie,
Lub zabawka chłopców w jesieni i w lecie.

II.

Pierwsze to cyfra, a drugie, trzecie
Nigdy nie długa, dobrze to wiecie,
Trzecie zaś czyni tkacz przy robocie,
Całość to kwiatek, rośnie przy płocie.

III.

(Ułożył Władysław Grażyński z W.).

Pierwszą mówimy gdy się żegnamy,
Pierwszą z drugą gotując otrzymamy.
Trzecią zaś w nutach znajdziecie,
Całość, to przedmiot potrzebny w świecie.

3. Zagadka.

(Ułożył Jan Dubis z J.).

Wprost to nazwisko
Dobrze nam znane,
Wszak z niem pisemko
Łączy się kochane.
Lecz gdy się odwróci,
To się już odmieni;
A gdy „czas" wyrzuci,
Pędzi hen w pustyni.

4. Bilety wizytowe.

(Ułożył Władysław Liszka z S.).

I.

Ico C. Kmiś.

II.

Skudit Sip.

III.

Miret Nis.

Po przestawieniu liter otrzymamy trzy bilety wizytowe osób zajmujących wysokie stanowiska w Polsce.

Termin nadsyłania rozwiązań do 24 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 27 „Roli": 1. Logogryf: Kazimierz Odnowiciel, Władysław Warneńczyk. 2. Szarady: Łokomotywa, Rola, Powały. 3. Zagadki: Mucha, Mak, Oko.

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązanie:

Na pogrzeb Króla Ducha zapóźno przybyłem,
Choć nadzieją podróży cały tydzień żyłem.
Nie z mej winy spóźniłem, bo jak często bywa,
Cały kłopot sprawiła zła lokomotywa.

Nareszcie przyjechałem, deszcz leje, jak z cebra,
A ja bez parasola. Już mię trzęsie febra.
Szczęściem, że na Tomasza wydawcę spotkałem
I do redakcji „Roli" razem się udałem.

Wchodzę, przecieram oko, sam sobie nie wierzę
Przy redakcyjnym stole skrobie po papierze
Kochany Maciek Bzdura. Witajcie Macieju!
Z progu witam. On na to: Siadaj dobrodzieju.

Tylko mi nie przerywaj, bo piszę gadanie.
Żyto wkrótce dojrzeje, rano zjem śniadanie,
Bo mi go gospodyni nie poniesie w pole,
Zresztą pisał nie będe w Psiej Wólce w stodole.

— A czy jest tu ulica króla Warneńczyka
Pytam się wchodzącego pana Kowalczyka.
— Wiem tyle — odpowiedział — że odnowiciele,
Co redakcję malują, skończą na niedziele.

Stanisław Nowak.

Oprócz tego nadesłali dobre rozwiązania w oznaczonym czasie pp.: Jan Wyrobek z J., Henryk Steffek z D., Florjan Ciebiera z Rz., Ludwik Gac z B., J. Reichert z P., Stanisław Czaja z Szcz., Józef Adamczyk z G., W. Scholz Alfons Czader z S. W., Jan Bylica z K., Piotr Wenc z S., Augustyn Czyż z Cz., Józef Gasiński z B., Rudolf Kulla z K. M., St. Niedziałek z B., Jan Patulski z S., Leon Łętowski z S.

Nagrody wylosowali pp.: Alfons Czader w Starej Wsi i Augustyn Czyż w Czechowicach.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni «Czasu» w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Na cudzy rachunek.

Dwaj przyjaciele, Icek Kwargelduft i Jojne Smarowóz, idą ulicą obok kawiarni.

— Ty Icek — powiada Jojne — w kawiarni siedzi ten hrabia, co mi jest winien dżeszenć dolarów. Idź i odbierz od niego, to ja tobi dam dwa dolary.

Icek poszedł, po chwili wraca mocno zmieszany.

— Dostałeś? — pyta Jojne.

— Tak jest — dwa razy w pisk.

— Nu!... a ty co na to?

— Nic! Albo on mnie był winien dolary? Co mnie to może obchodzić?



Jak?

— Jakto, i nawet nie broniłeś się, gdy cię Władek publicznie na ulicy po twarzy wygrzmocił?

— Ciekawym bardzo, jak?

— W jdnej ręce trzymałem parasol, a w drugiej kapelusz, który mi zleciał z głowy.

A więc, panowie, wybierzmy na naczelnika straży ogniowej naszego kochanego aptekarza.

— Protestuję!

— A to czemu?

— Bo jak zacznie odmierzać wodę do sikawek po aptekarsku, to całe miasteczko zgorzeje.



Lekarz i pijak.

— Jeżeli chcesz pan być zdrowym i długo żyć musisz pan zupełnie zarzucić alkohol!

— Cóż więc mam pić?

— Pij pan mleko.

— Nie wierzę w to, ciele przez całe życie mleko pije a nie słyszałem żeby jakie długo żyło.



Jakie jest podobieństwo słomy do masła?

— Jeżeli prędko mówić raz po raz słoma, słoma... to słyszy się masło, masło...

Aby ułatwić zachęcanie do zaprenumerowania „Roli“ wszystkim nowym Prenumeratorom dajemy numera dla całości rocznika z I. i II-go kwartału po 2 zł 60 gr.

W Administracji „Roli“ są do nabycia niektóre numera „Roli“ z roku 1912, 1913 nie tworzące całości rocznika, które się wysyła po nadesłaniu 15 groszy za każdy egzemplarz. Można nadsyłać w liście znaczkami pocztowymi.

Zawiadamiamy Sz. Czytelników, którzy mają z ich własnej winy numera „Roli“ poniszczone lub zagubione, że możemy im w miejsce takich przesłać nowe po nadesłaniu 25. groszy za egzemplarz i można przysyłać w listach znaczkami poczt

Wszystkich prenumeratorów prosimy o adresy osób, któreby mogły „Rolę“ zaprenumerować, a numera okazowe im prześlemy.

Numerów z r. 1926 t. j. od początku wydawania „Roli“ posiadamy jeszcze tylko po kilkanaście egzemplarzy i kosztują tylko 1 zł. 50 gr.

Gdy wyczytasz ogłoszenie
I uczynisz zamówienie.
Pisz wyraźnie i powoli,
Żeś to czytał w naszej Roli.

Dziełko o budownictwie wiejskiem.

Zagranica posiada już oddawna bardzo bogate piśmiennictwo poświęcone specjalnie budownictwu wiejskiemu. U nas w Polsce tego rodzaju prace są mało jeszcze uwzględniane, ku wielkiej szkodzie całego państwa, a przedewszystkiem mieszkańców wsi, którzy nie posiadają praktycznych podręczników, ułatwiających im wznoszenie nowych budowli. Jest bowiem budowanie i budowanie... Można budować i źle i dobrze. U nas zwykle buduje się źle, a przeważnie dlatego, że ludzie nie wiedzą jak budować dobrze. Oczywista trudno, aby każden wszystko wiedział. Ale od tego być powinny podręczniki, które dają praktyczne rady, różne pomysły, rozmaite przepisy, wypróbowane przez doświadczenie i oparte na znajomości rzeczy.

Taki właśnie podręcznik w postaci broszury daje nam p. Ig. Wróblewski — wytrawny znawca wszelkich sposobów budowania, a w dodatku bardzo ceniony artysta. Napisał niewielkie dziełko pod tytułem: „Modelowa Zagroda i Chata Włościańska" (można nabyć w administracji „Roli"). W tem dziełku, które ma 31 stronic, opisuje jak powinna wyglądać wzorowa zagroda włościańska i daje szereg praktycznych rad i wskazówek jak każda robota ma być wykonana: jak głęboki fundament, jak i kiedy futryny robione, jak legarki położone, jak piece ustawiane itd. Kilka rysunków i planików dołączonych do dziełka objaśniają różne sposoby praktyczne rozłożenia domu, stajni, obory. Podają też rozkład całych zagród, rozmaitej wielkości od najmniejszych do bardzo już obszernych — wedle tego, jaką kto ma kieszeń i kogo na co stać.

Dziełko p. Ig. Wróblewskiego bezwarunkowo należy uważać za pożyteczne do przeczytania i obejrzenia, bo dużo w niem nowych myśli i nowych pomysłów, które każdego myślącego gospodarza zastanowić muszą, a niejednokrotnie do czegoś pożytecznego ztchęcić. Podziękować też potrzeba p. Ig. Wróblewskiemu, że swą pracą wzbogacił naszą ubożuchną literaturę budownictwa wiejskiego.

Na reklamacje znaczków pocztowych się nie nalepia, pisząc na zwykłej kartce „Reklamacja": Nr... nie otrzymałem i swój adres.

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli" lecz: **Konto pocztowe 406.301 Kraków.**

Rozszerzajcie „Rolę"
Ile macie siły,
By jej słowa kraj nasz cały
Corychlej zwiedziły.